Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 30 gr.

GŁOS

DWUTYGODNIK RADYKALNO-NARODOWY

Nr. 4 a — Poznań, dnia 15 lutego 1934 — Rok IV

Żyjemy w okresie kryzysu całego szeregu instytucji i pogrążania się w coraz większy chaos.

Instytucje te zastąpić mogą tylko na najwyższym poziomie moralnym stojące — jednostki, pełni poczucia odpowiedzialności i niezachwiani w swej apostolskiej misji — ludzie.

Wszelkie klecenie „nowych" form przez ludzi o starych nałogach myślenia dla ratowania swej pozycji, uważamy za tamujące zdrowy, organiczny rozwój społeczeństwa — wstecznictwo.

Przed nami leży wielki okres przebudowy moralnej, okres wychowywania nowego człowieka we wulkanie narodowego entuzjazmu, entuzjazmu, spalającego wszelki egoizm, wszelką małość i brud. Ustrojem tego okresu może być tylko dyktatura narodu.

A potem nowi ludzie — szerokie masy świadomych narodowców, ludzie polskiego, narodowego świata pracy — nową zbudują konstytucję.

JEDNOŚĆ RUCHU NARODOWEGO

Ruch narodowy jest zbyt silny, by najsilniejszy nawet atak zdolny był zachwiać jego jednością ideową i organizacyjną. Ruch nasz ma warunki dziejowe do osiągnięcia zwycięstwa i — zwycięży. Zwycięży upowszechnioną świadomością narodową, wytrwałością w pracy i walce, cierpliwością w oczekiwaniu na rezultat walki, gotowością do ofiar i poświęceniem w zwartych, karnych szeregach jednolitego frontu bojowników o sprawę narodową. JAK NARÓD STANOWI ORGANICZNĄ JEDNOŚĆ I CAŁOŚĆ, TAK RUCH NARODOWY W JENOŚCI ORGANIZACYJNEJ I W JEDNOLITEJ DYNAMICE TWÓRCZEJ ZDOLNY BĘDZIE OPANOWAĆ ROZCHEŁSTANIE DĄŻEŃ I ANARCHJĘ STOSUNKÓW SPOŁECZNYCH W POLSCE.

Jeden jest naród polski i jedna musi być polska polityka narodowa. Z tego założenia wysnuć trzeba z całą logiczną konsekwencją wskazania organizacyjne i programowe. Muszą się one opierać na głębokiem rozumieniu istoty narodu, jego wewnętrznej struktury, jego tradycji, tkwiącej w instynktach i w świadomości dziejowych dróg rozwoju, jego ambicyj i dążności oraz tych sił duchowych, które — bądź wyzwolone w wytężonej twórczości, bądź drzemiące w gnuśnej bezczynności — mogą być w pełni wyzyskane do urzeczywistnienia aspiracyj rozwojowych narodu. Z takiego stanowiska jasne winny wynikać konsekwencje w działaniu politycznem: skądkolwiek i przez kogokolwiek podejmowane, winno ono zawsze zwracać się ku wewnątrz, ku sprawom życia i rozwoju narodu. Jest rzeczą zrozumiałą, że te właśnie sprawy muszą być jako cel rozumiane w sposób jednakowy. Jedynie w środkach ich realizacji mogą zachodzić różnice. Ale też wybór takich, czy innych środków nie może być płaszczyzną dla jakichkolwiek rozbieżności, jeśli istnieje wspólny cel i wspólne dążenie. Idea narodowa zna tylko jeden rodzaj dążności i działań: są to dążności i działania dośrodkowe. Wszelkie natomiast dążności odśrodkowe godzą w jej istotę. Dlatego też niezbędnym atrybutem jedności ruchu narodowego jest jednolitość organizacyjna, a więc i kierownictwa politycznego ruchu, wyrażająca się dynamicznie w ustalonej linji taktyki politycznej i celowości twórczych działań. Tylko przyjęcie w pełni tych zasad uchronić nas może od wewnętrznej anarchji, lekkomyślności w poczynaniach, samowładnych dążeń jednostkowych ambicyj oraz walk o wpływy tych czy innych grup i koteryj.

Myśl krytyczna przy panowaniu tych zasad znajdzie wówczas swoje ramy i możliwości wykorzystania. Zawsze jednak należy pamiętać o tem, że wszelka myśl krytyczna musi iść w zgodnej parze z gorącem ukochaniem sprawy narodowej, bo tylko wówczas można spodziewać się żywotnych czynów, torujących narodowi drogę do wielkości.

Stanisław Czapiewski.

W numerze:

Opinja najmłodszych nawarstwień

W ostatnim czasie prasa obozu „sanacyjnego" podaje wiadomości o „fermentach" w obozie narodowym. Pragniemy na tem miejscu sprawą tą się pokrótce zająć, aby ewentualnie, jeżeli tego zajdzie potrzeba, omówić ją w przyszłości szerzej. My młodzi narodowcy nie jesteśmy zwolennikami tuszowania czegokolwiek i tkwienia w atmosferze zgniłych wyziewów, szacherek i zakulisowych machinacyj, jesteśmy raczej zwolennikami cięć radykalnych, i nie boimy się opinji publicznej.' Tu jednak spieszymy uspokoić czytelnika, że, chwilowo przynajmniej, nie widzimy potrzeby takich właśnie radykalnych posunięć!

Zanim jednak przejdziemy do pewnych spostrzeżeń, dokonanych w naszych szeregach, musimy zwrócić uwagę na jedno i wystąpić zarazem z ostrzeżeniem: Widocznie gdzieś tam dokonuje się pod obóz narodowy od wewnątrz jakiegoś podkopu, skoro tak na komendę trąbi się o „fermentach" i usiłuje od zewnątrz tej machinacji przyjść z pomocą.

A teraz do rzeczy. Temi czynnikami, które dały pismom „sanacyjnym" asumpt do wypisywania się na temat „fermentów" były: wydana niedawno broszura posła Stahla pod tytułem „Wstęp do polityki", a przedtem jeszcze pewne artykuły w „Awangradzie". I tu musimy zanotować spostrzeżenie, które zresztą uczyniła także prasa „sanacyjna", że niezadowolenie zdradzają ludzie o pewnej określonej granicy wieku, „trzydziestolatki", jak ich nazwano, którzy rzekomo próbują się buntować przeciwko „starej endecji". Otóż my spróbujemy spojrzeć na to zagadnienie „starej endecji" i „trzydziestolatków" ze swego punktu widzenia, to zn. z punktu widzenia NAJMŁODSZYCH NAWARSTWIEŃ POLSKIEGO OBOZU NARODOWEGO, za przedstawiciela których „Głos" się uważa. Te najmłodsze nawarstwienia mają niewątpliwie swój charakter: one to rozszerzyły zasięg wpływów obozu narodowego w najszersze masy i one to starały się o rozbudowę zagadnień ideowych, starały się rzucić podstawy pod to, co nazwały radykalnym nacjonalizmem. Stosunkowi swemu do „starej endecji" „Głos" dawał wyraz niejednokrotnie: nie ograniczaliśmy się w tym kierunku do dziecinnej krytyki ludzi zawiedzionych w swych ambicjach, ale staraliśmy się przedewszystkiem o pozytywną rozbudowę tego, co nam w spadku przekazano, i o przystosowanie tego do nowych warunków i w pracy tej nie ustaniemy nigdy i poprowadzimy ją z całą stanowczością.

Niestety te nasze intencje zostały niewątpliwie przez pewnych ludzi źle zrozumiane. Nasz stosunek do „starej endecji" jest krytyczny, ale pozbawiony animozji; rozumiemy bowiem, że „stara endecja" SPEŁNIŁA SWOJĄ ROLĘ BARDZO DOBRZE, SZCZEGÓLNIE W CZASIE WOJNY I W OKRESIE POPRZEDZAJĄCYM JĄ.

Niestety nie można z tym samym spokojem i bezukrywanej wściekłości patrzeć na to wszystko, co się wlokło w ogonie obozu narodowego i ze spokojem przeżuwało frazesy, nie dorzucając do skarbca ideologji narodowej zgoła nic. Dla tych panów, którzy chyba chińskim murem odcięli się od świata, tryumf narodowego socjalizmu był taką niespodzianką, że do dziś jeszcze po nim nie wytrzeźwieli i jedni uważają się ciągle za „wodzów", a drudzy wobec jego potęgi, taką odczuli niemoc, że NA GWAŁT SZUKAJĄ BARWY OCHRONNEJ. Jednem słowem ten ogon nagle poczuł się głową młodego pokolenia narodowego, zachęcony niewątpliwie rzeczowemi głosami naszej krytyki. My młodzi jesteśmy jednak na tyle trzeźwi, żeby nie znaleźć się w roli przysłowiowego stryjka, który zamienił siekierkę na kijek.

Rozłamy dokonywane są przez dwojakiego gatunku ludzi. Albo przez ludzi śmiałych, odważnych, legitymujących się wielkim dorobkiem ideowym; przez ludzi darzonych powszechnem zaufaniem jawnie, na oczach wszystkich, z pełnią poczucia odpowiedzialności — mogą one być doniosłe w skutkach i konieczne — albo też przez karzełków, po cichu, za kulisami, na tle osobistem, dla dogodzenia własnym ambicjom. Nie trudno odróżnić ziarna od plew.

JEŻELI OBÓZ NARODOWY PRZECHODZI DZIŚ RZECZYWIŚCIE OKRES FERMENTÓW, TO JESTTO NIEWĄTPLIWIE OBJAW BARDZO RADOSNY. RUCH, ŚCIERANIE SIĘ OPINJI — TO ŻYCIE. WYJDZIE ON NIEWĄTPLIWIE Z TEGO BARDZIEJ ZWARTY I SKRZEPIONY W SOBIE, OPADNĄ Z NIEGO RESZTKI KONSERWATYWNEGO NALOTU, TAK IDEOWEGO JAK I MAJĄCEGO SWE ŹRÓDŁO W TEMPERAMENTACH. I ZDWOI PĘD NAPRZÓD. AWANTI!

Powrót do staropolszczyzny

Jak donosił już „Głos" w poprzednim numerze — w dn. 21 stycznia br. odbył się w murach Uniwersytetu Poznańskiego odczyt p. t. „Powrót do staropolszczyzny", urządzony staraniem Akademickiego Zrzeszenia Miłośników Kultury. Odczyt ten wygłosił p. Jan Rembieliński z Warszawy, redaktor „Myśli Narodowej", publicysta wybitnie uzdolniony i o głębokiej kulturze umysłowej.

Ze względu na wielkie zainteresowanie treścią powyższego odczytu, podajemy w streszczeniu szkic myśli prelegenta.

Stoimy przed renesansem znaczenia i wartości literatury polskiej XVI i XVII w.

Przewrót, dokonujący się w świecie, ujawnia swoje skutki m. in. w postaci osłabienia wiary w postęp. W związku z tem literatura dawniejsza zyska na swojej wartości, nie będzie bowiem rozpatrywana, jako stopień niższy w stosunku do obecnego jej stanu. Wogóle wartościowanie wyzwoli się z panującego dotychczas kryterjum czasu, które twierdziło, iż dzieła późniejsze w czasie eo ipso są lepsze. Takie stanowisko ustaliło we współczesnej cywilizacji wszechwładzę mody, opartej o kult nowości.

Ewolucyjna ocena sztuki, to ocena pod kątem widzenia narzędzi, któremi się posługiwano. Doskonaliły się narzędzia, a nie dzieła za ich pomocą wykonane. Stąd fałszywa ocena samych dzieł. A trzeba tu pamiętać, iż posługiwanie się skromniejszem narzędziem wymagało od człowieka większego wysiłku umysłu, wyostrzonego poczucia piękna, zręczności, umiejętności. Tkwiły tu warunki dla samorodnej, oryginalnej twórczości.

Ewolucyjny pogląd — to szukanie prekursorów dzisiejszości.

Nowe spojrzenie winno być o wiele korniejsze w stosunku do przeszłości, musi rozumieć, że to, co jest dzisiaj, może być też wyrazem zboczeń z właściwej drogi rozwojowej. Przy takiej postawie przeszłość może dziś dla nas przedstawiać się jako szukanie dróg zagubionych.

Specjalnie polskie warunki skłaniają nas do takiego „nowego" spojrzenia. My bowiem nie mamy ciągłości życia narodu. Dla ludzi niewoli literatura staropolska była niezrozumiała. Odzyskanie państwa stwarza warunki odwrotne: literatura dawnego państwa staje się dla nas zrozumialszą niż literatura czasów niewoli.

Dziś trzeba ponadto przełamać dawne, pochodzące z okresu niewoli, tragiczne spojrzenie na przeszłość. W okresie niewoli szukaliśmy w dawnej literaturze zapowiedzi rozbiorów, wieszczenia klęsk, Kassandry. Stąd przy takiem zastosowaniu ponad wszystkiem dominowały akcenty krytyki, niezadowolenia. Stąd ponad wszystko wybijały się tragiczne proroctwa Skargi.

Nie pamiętaliśmy, że naród bardzo często w okresach swej wielkości jest z wielu rzeczy niezadowolony; że owo niezadowolenie może być wyrazem wielkich ambicyj, dążności rozwojowych. W dobie saskiej przecież nie spotykamy w literaturze krytyki; jesteśmy mocarstwem, cały świat nam zazdrości.



Nie dostrzegaliśmy pogody, jasności, słoneczności dawnej literatury i dawnych czasów. Ta właśnie pogoda i słoneczność przeszłości została tak zenitowo uwypuklona w „Panu Tadeuszu", w którym przejawiła się w całej pełni harmonja dawnej polskiej cywilizacji. Dlatego to dziś odczuwa się potrzebę powrotu do tej dawnej cywilizacji i jej obrazów w literaturze staropolskiej.

Występuje tu przytem i to zjawisko, iż literatura dawnej Polski niepodległej jest bliższa i podobniejsza w swoich problemach potrzebom i odczuwaniom dzisiejszego życia polskiego, niż literatura romantyczna. Fakt ten sprawia, iż „Odprawa posłów greckich" Kochanowskiego jest dla nas zrozumialsza, przystępniejsza, bardziej żywa i bezpośrednia, niż np. Mickiewiczowskie „Dziady".

Dziś, gdy mówi się o powrocie do średniowiecza, nie trzeba zapominać, że średniowiecze u nas trwało właściwie dopiero poprzez wiek XVI i XVII. Wiek XVII-ty to u nas nasza doba krucjat. „Jerozolimę wyzwoloną" Tassa tłumaczy się u nas we wieku XVI. Literatura polska wieku XVII jest bliska duchowi średniowiecza. Potrafiliśmy połączyć tu najwyższe wartości kulturalne średniowiecza z własną oryginalną twórczością. Gdzież jest taki uduchowiony barok jak w Polsce? Dlaczego u nas łączy się tak harmonijnie z gotyckiem (strzelistość wież jasnogórskich!)?

Dziś też, jeżeli do czego będziemy powracać, to do staropolskiej literatury religijnej. Dzisiejszemu odrodzeniu religijnemu nie towarzyszy polska współczesność literacka. Dziś religijna moda literacka — to moda na prymitywizm (jak u Zegadłowicza), lub na poufalenie się z Bogiem (jak u Pawlikowskiej). Pojęcia o religji są w tej twórczości na poziomie kompromitująco niskim; rzecz znamienna, że religijność tę kojarzy się z psychologją chłopa, czy służącej.

Współczesny zwrot do religji to nie zwrot sentymentalny. Dziś do religji wraca się drogą myśli. Cóż na to pomoże kolędziołkowanie beskidzkie? Właśnie w dawnej literaturze polskiej jest wielka myśl religijna. I tu więc tkwi uzasadnienie powrotu do źródeł odczuwanych dziś pragnień i dążności.

S.

Pieśniarka życia

Jeśliby mit o urodzie życia miał się kiedy spełnić, to urodą taką śmiało możnaby nazwać utwory Rodziewiczówny. Każda jej książka jest jakby zdrojem ożywczym, dającym temu, kto zeń zaczerpnie, odrodzenie sił duchowych, chęci i mocy życia.

Życie w najistotniejszem znaczeniu tego słowa t. j. jako energja rozwojowa, rozmach, moc żywiołowa jest jedną z zasadniczych cech jej twórczości. Daje się to zauważyć na całej przestrzeni tej twórczości: od „Dewajtisa" do prawdziwie z młodzieńczym zapałem i siłą pisanego „Gniazda Białozora". Zwłaszcza w tym ostatnim utworze zadziwia ta energja życia ze względu na podeszły wiek autorki i stanowi dowód niespożytej siły jej ducha.

Ta energja życia przejawia się w dwojaki sposób: w mistrzowskich opisach przejawów jego, oraz w przedziwnym nastroju, tonie książek, pełnym dynamiki. Szczególnie zasługuje na uwagę ten nastrój, będący naturalnie odbiciem duchowego ustroju samej autorki. Życie przejawia się w dwóch dziedzinach: w przyrodzie i ludziach. Podział ten jest bardzo problematyczny, raczej sztuczny: u Rodziewiczówny bowiem człowiek jest organicznie zrośnięty z przyrodą, stanowi jej uzupełnienie, jej integralną cząstkę.

Z tego też zasadniczego ujęcia wypływa fakt, że choć główny ciężar uwagi położony jest na życie ludzkie, to jednak przyroda nie jest tylko biernem tłem, środowiskiem, dodatkiem do człowieka. Ma ona swoje własne bujne, potężne życie, niezależne od człowieka, który natomiast, będąc jej cząstką, nieraz jej wpływom ulega. To ujęcie przyrody, jako samodzielnego żywiołu, z którym ściśle związany jest człowiek, łączy Rodziewiczównę z Dygasińskim i Żeromskim. Łączą ją z nimi inne jeszcze cechy, że wspomnimy tu obok tej naczelnej cechy, jaką jest u Rodziewiczówny energja życia, umiłowanie dobra i piękna. Umiłowanie to nie jest bierne, kontemplacyjne ale, co wynika z istoty życia, wyraża się w czynnej walce o realizowanie ideału.

Każda bez wyjątku książka jest terenem walki o dobro i piękno, walce tej poświęcona jest świadomie i celowo cała twórczość pisarki. Z Żeromskim wiąże ją jeszcze jedno — umiłowanie człowieka. Jak największy z polskich literatów - społeczników mówi, że zło jest jedno — krzywda człowieka, tak i ona głosi: największą mądrością — dobroć. Umiłowanie to rozciąga się na wszystkich od nędzarza do księcia z Holszy. Potrafi odczuć i zrozumieć bóle i nieszczęścia zarówno dusz prostych jak skomplikowanych i wysubtelnionych, zło w stosunkach ludzkich, przyczyny cierpień odkrywa bez żadnych względów, nie wahając się dotykać nawet bardzo dla niej samej bolesnych ran.

I tu owa energja życiowa i skutkiem tego czynne ustosunkowanie się do życia nie pozwala jej na samo tylko odsłanianie zła, na samo stawianie djagnozy, ale zmusza do przeciwdziałania. Widząc zasadniczą przyczynę nieszczęść i cierpień, zła gnębiącego ludzkość nietyle w organizacji społeczeństwa ile w egoizmie, wzajemnej nienawiści, bierności i bezczynności (znów wpływ energji życiowej), uważa za niezbędny warunek zmiany na lepsze poprawę wewnętrzną ludzi, opartą na miłości bliźniego i pracy. To oparcie przemiany stosunków ludzkich na przemianie samych ludzi przyczynia się do tem większej wartości jej książek, stają się bowiem one przez to aktualne nietylko dla pokolenia współczesnego ale i dla przyszłych.

Tematem każdej z książek jest doskonalenie się w kierunku miłości bliźniego i pracy, ludzie podnoszą się w miarę rozwijania w sobie tych cech i upadają, gdy ich braknie. Wobec ogromu zła w otoczeniu realizują to przykazanie miłości i pracy narazie tylko nieliczne jednostki, odcinające się tem wyraziściej od otoczenia. Są to zawsze ludzie nieprzeciętni, można powiedzieć, wybitni. Wybijają się oni ponad tłum nie tylko tem, że pełnią owo zasadnicze przykazanie, ale wysoką inteligencją, szerokością horyzontów myślenia, silną wolą, świadomością celów i dążeń. Posiadanie takich ludzi nie jest przywilejem jednej warstwy czy klasy społecznej. Znajdują się oni równie dobrze między prostym ludem, jak wśród arystokracji. Przez tę duchową łączność ludzi wszystkich warstw zaznacza Rodziewiczówna pragnienie skonsolidowania narodu w jedną silną całość, dążącą do wspólnego celu.

Wspomnieliśmy, że owe jednostki odcinają się ostro od tłumu. Łączy się to z ogólnem właściwem Rodziewiczównie przeciwstawieniem wielkości — miernocie. Jest to indywidualizm, wynikający właśnie z głębokiego odczucia istoty życia. Cechą bowiem życia jest właśnie rozmaitość, nierównomierne wzrastanie, indywidualizm. Przejawia się to zarówno w przyrodzie jak i w życiu ludzi od wieków i przejawiać będzie (chyba, że ktoś wynajdzie sposób na „produkcję" ludzi o jednakowych zdolnościach, charakterach i upodobaniach. Na szczęście dla kultury, która na takiej standaryzacji istot ludzkich niezbyt dobrzeby wyszła, niema naukowych podstaw do takich przypuszczeń).

„...marchons, marchons...”

Centrum kultury świata, laboratorjum setek doktryn ekonomicznych, społecznych, moralnych, socjologicznych, politycznych, — wielka i bohaterska Francja dumna, że stale nazywano ją:

„eternelle creatrice de la civilisation”,

pozwoliła się wyprzedzić innym narodom, w pochodzie ruchu narodowego, przynajmniej pozornie.

Może właśnie dlatego, że od wieków kroczyła na czele postępu, „czynniki międzynarodówek” sprzysięgły się by najżywotniejszy naród ujarzmić nasamprzód, chciano niejako regulować puls życia intelektualnego, duchowego, moralnego i politycznego narodu.

Całe życie tak bogate i wartkie Francji przybierało coraz wybitniejsze oblicze kosmopolityczne; znamię tych potężniejących wpływów międzynarodowych wykazują nam takie chociażby skandale, jak afera Dreyfus'a, M-me Hanau i Stawisky'ego.

One to odzwierciedlają nam planowo rozbudowywane wpływy międzynarodówek; wystarczy przyjrzeć się prasie, a nawet wydawnictwom, by przekonać się o kampanji, skierowanej przeciwko wszystkiemu i wszystkim, co walczyli o samostanowienie narodu.

Już proces Dreyfusa wykazał, jak daleko sięgają macki wpływów obcych, wtedy to grupa intelektualistów, a na ich czele Leon Daudet, Maurras, G. Valois, tworzy organ „Action Française”. Około tego organu skupia się coraz więcej osób twórczo pracujących nad doktryną narodową. Maurras obejmuje sprawy społeczno-polityczne i w swych rozważaniach polityczno-socjologicznych dochodzi do konstrukcji elity w narodzie, Daudet obejmuje sztukę i literaturę, Valois zostaje redaktorem działu ekonomicznego. Zasadnicza ich koncepcja zakłada pojęcie narodu jako jednostki w społeczności wszechludzkiej. Naród to twór z woli Opatrzności, ma on za swój obowiązek dorzucić swemi wysiłkami „indywidualnemi” skarby kultury narodowej do skarbca wszechludzkiego. Koncepcja zamknięta pojęciem monarchy, jako jednostki nadrzędnej, jako wcielenia idei samostanowienia narodu, wyrazu solidaryzmu i wszechstanowości narodu. Nadrzędność parlamentu nad innemi władzami uznano za zło społeczne. Koncepcję tę nazwano doktryną nacjonalizmu — integralnego. I grupa wspomniana działała przedewszystkiem twórczo nad pogłębieniem tej ideologji.

Wyniki przedstawionej akcji różnie sądzono. Niektórzy, mierząc doniosłość idei siłą organizacyjną i ilością wyznawców, nazwali grupę tę odosobnioną a doktrynę poronioną. Inni, szerzej patrząc na zjawiska społeczne, rozumieli całą doniosłość koncepcji. Niewątpliwie ci ostatni mają rację.

Przecież teren francuski jak wspomniałem jest specjalnie omotany czynnikami międzynarodowemi, przez masonerję, żydostwo, kapitalizm, socjalizm, komunizm; słowem idee narodowego integralizmu wydawać musiały się marzeniem ściętych głów. Nic dziwnego, teren był twardy, niewdzięczny, jednostki z samej redakcji usunęły się, przeszły na teren wdzięczniejszy ze względu na konjunkturę światową. W lokalach A. Fr. zorganizował G. Valois t. zw. „Cercle du Proudhon” — było to laboratorjum idei syndykalistycznej, współpracował z nim blisko G. Sorel. Pewne zdobycze na polu intelektualnym skierowywują liczne ataki wrogów idei narodowej, następują procesy, a konjunktura, wynikła dla komunizmu, oraz innych' sfer międzynarodowych w okresie powojennym, osłabia grupę A. Fr. Valois przechodzi do radykałów socjalizujących, Berth i Sorel do komunizmu.

Mussolini tymczasem dochodzi do władzy, częściowo przejmuje ideę Garibaldiego, uzupełniając ją koncepcjami Sorela oraz Maurrasa. Na Francję przypuszczono ze sfer międzynarodówek jeszcze większy atak, przyłącza się do tego Watykan rzucając dzięki staraniom kard. Verdier ekskomunikę na grupę A. Fr. Z redakcji odchodzi pułk. du Pin.

Sytuacja A. Fr. jest bardzo trudna, atakowani są finansowo przez przeciwników, bojkotowani przez policję paryską, całe zaś społeczeństwo nastawione jest przeciwko nim. Wtedy to ratują sytuację republikanie narodowi, tworząc organizację „Jeunesse Patriote”, która z czasem staje się prototypem O. W. P., pomijam oznaki zewnętrzne, przyjmuję pod uwagę momenty organizacyjne.

Następuje szereg skandali w sferach wielkich kapitalistów, w sferach parlamentarnych, za któremi kryją się osobistości z świata żydowsko-masońskiego, to jednak nie wystarcza opinji francuskiej, nadal wszystko żyje duchem międzynarodówek. Tymczasem Hitler dochodzi do władzy, przyjmuje francuskie koncepcje hr. Gobineau o nierówności ras, porzuca teorje międzynarodowe marksizmu, przyjmuje jednak socjalizm wzoru myślicieli francuskich — krótko Francja znowu zapłodniła nowy ruch w Niemczech.

We Francji jednakże nadal, mimo skandali międzynarodowych złodziei, tryumfują idee kosmopolityczne. Zjazd nauczycieli z całej Francji wypowiada się przeciw rozbrojeniu i wojsku, podczas gdy w Niemczech wre praca nad armją. Tak dalece potrafiono zatruć naród francuski, tysiące nauczycieli w duchu antyreligijnym i antynarodowym wychować, tworząc grunt w młodem pokoleniu dla rozboju aferzystów i dygnitarzy z międzynarodówek. Wszystko jednak przechodzi bez echa! Parlament milczy, władze masońskie zamknęły mu wolność decyzji. Narodowcy z A. Fr. i z „Jeunesse Patriote” biją na alarm, — międzynarodówka nie słabnie mimo wszystko.

Następuje nowy skandal, odsłaniają się kulisy tragikomedji „Stawiskjady”, akcja rozgrywa się w gabinetach ministrów i parlamencie! Macki masonerji uciszyły na nowo aktualny skandal. Naród francuski drzemał, uśpiony wygodnemi hasłami materjalizmu, kwietyzmu głoszonemi przez międzynarodówki, które przytem legalnie były zakonspirowane.

Wtedy pada hasło z gabinetów A. Fr.: „na gilotynę ze złodziejami!” Narodowi republikanie łączą się z monarchistami, chodzi przecież o samostanowienie narodu i zniesienie mafji międzynarodowej, żerującej na całym narodzie.

Ostateczny tryumf idei narodowej musi przejść przez chrzest krwi, wykazał to Mussolini, Hitler i częściowo zwycięstwo narodowców w Hiszpanji.

Wychodzą więc na ulicę „Kamelocі”, za nimi „Młodzi Patrjoci!” i kombatanci.

Ofiarni synowie Francji w obronie wielkości i suwerenności narodu przelewają krew na ulicach miast.

Maurras w więzieniu, Daudet usunął się do Brukseli.

W imię więc prawdy, odpowiadając na pytanie na wstępie stawione, stwierdzić musimy, że prekursorzy myśli narodowej okazali się również wielkimi organizatorami, jak poprzednio doktrynerami. Skupili pod sztandarem idei narodowej wszystkich patrjotów niezależnych materjalnie i hierarchicznie od kliki międzynarodowej. Hasło — „La France aux Français” — padło w dniu przełomowym w dziejach narodu francuskiego. Francuzi ocknęli się i wbrew interesom osobistym, jedynie z pobudek czysto patrjotycznych, krwawią na ulicach własnej ojczyzny. Walczą bowiem o nowy świat, o nowy światopogląd w życiu narodu.

Trudno przewidzieć, jaki koniec weźmie ta nierówna walka rodzącego się świata ze zakonspirowanym materjalistycznym międzynarodówek. Przecież dni temu kilka to jeszcze grupa odosobniona od opinji publicznej — „Action Française” nie sięgnęła nigdy głębiej do warstw społeczeństwa. Myślimy tutaj również o tych wszystkich narodowcach, którzy nie są monarchistami, ale idą pod hasłem odrodzenia narodowego, którego rdzeń stanowi grupa „kamelotów”.

Wielki pochód ruchu narodowego świata wzrasta liczebnie. W kilku dniach serca miljonów Francuzów zabiły nowemi ideałami. W tem leży właśnie doniosłość, potęga i dynamizm idei narodowych — w ciągu chwili znajdują żywiołowy oddźwięk w sercach, opanowują serca, mózgi i temperament tysięcy — dawniej zasklepiałych egoistów, czynią ich zdolnych w jednej chwili do ofiary z życia własnego!

Idea narodowa to nie abstrakcja, idea narodowa tkwi we krwi (temperamencie), tkwi w najgłębszych pokładach tradycji (uczuciu), sięga do intelektu, opierając się na przesłankach filozoficznych.

Trzeba więc uświadomić i wyzwolić drzemiące siły, a otrzymamy ruch mas, ruch żywiołu ludzkiego, niepodzielonego dykasterją przynależności społecznej.

Cześć więc więzionym prekursorom idei narodowej, — hołd rannym i poległym bohaterom za Wielką Suwerenną Francję! Cześć wam bohatersey narodowcy, walczycie bezinteresownie na jednym odcinku wspólnego nam frontu — przeciw materjalizmowi międzynarodówek.

Bliscy wam jesteśmy — podobieństwem temperamentu — zaprzyjaźnieni wspólną racją stanu.

W tych wielkich dla was chwilach zapewniamy was o naszej dozgonnej przyjaźni, duchowo łączymy się z wami, świadomi wspólnego hasła:

„...le jour de gloire est arrivé... marchons, marchons...” w nowy okres cywilizacji i kultury świata, dla dobra narodów i całej ludzkości!

Zetha.



Z cichych, jakby zagłuszonych miejskim gwarem, nazwisk artystów na ziemi Wielkopolskiej wspominamy dziś nazwisko Antoniego Serebeńskiego, którego prace graficzne czarują pełnią linij. — Reprodukcja jego drzeworytu „Ulicy małego miasteczka”, zawiera ten sam urok, co znane jego drzeworyty sennych drzew, widzianych przez ukwieconą gałązkę, lub młyn wodny, drzemiący nad bystrym strumieniem.

Jeśli mówi się, że epoka indywidualizmu minęła, jeśli my, młodzi, za jedno z haseł stawiamy sobie bezwzględne podporządkowanie jednostki ogółowi, to nie znaczy to, abyśmy chcieli tamować swobodny rozwój jednostki. Byłoby to nierealne dążenie, opierające się na nieznajomości zasad i prawideł życia, i wkrótce zostałoby przez życie złamane. My występujemy tylko przeciw indywidaulizmowi ubiegłego wieku, który głosił, że jednostka jest sama dla siebie celem, że celem jej starać się tylko o własne egoistyczne szczęście, dla którego wolno poświęcić wszystko i wszystkich. Walczymy z indywidualizmem, który doprowadził, bo doprowadzić musiał, do koncepcji nadczłowieka. My dążymy do tego; aby rozwój jednostki dokonywał się w ramach pracy dla dobra ideałów, któremi są: religja, naród, kultura.

Stawiamy w miejsce egoizmu poświęcenie. Takim właśnie indywidualizmem, nazwijmy go dla odróżnienia od dawnego indywidualizmem poświęcenia, odznaczają się postaci Rodziewiczówny. Dla idei poświęcają zdolności, siły, sławę, szczęście osobiste. Jest to poświęcenie bezinteresowne, nie żądające od ludzi nawet wdzięczności za spełnione dobro („Człowiek nie pies, aby był wdzięczny”, „Gniazdo Białozora”).

Mimo jednak owego przeciwstawienia wielkości — miernocie, człowieka — ludziom, nie czuje ona w stosunku do zwykłych ludzi nienawiści lub specjalnej pogardy. Przeciwnie uważa, że źli ludzie są tem więcej godni litości że są nieszczęśliwi, gdyż nie znają dobra. Jako prawdziwa chrześcijanka walczy ze złem, ale nie ze złymi ludźmi.

Wierzy, że ludzie są źli nie z natury, lecz z nieświadomości dobra, że z chwilą, gdy poznają i zrozumieją swój błąd, nawrócą się. Cechuje więc ją optymizm, płynący z energji życia, z czynnego ustosunkowania się do zjawisk. Optymizm jest bowiem niezbędną cząstką składową życia i podstawą wszelkiego celowego działania. Bez optymizmu, bez wiary w zwycięstwo, nie możnaby wogóle mówić o celowem postępowaniu. Pocóż pracować, gdy wie się, że praca nie wyda plonów? Nawet do trwania na t. zw. straconych placówkach trzeba optymizmu, wiary, że się swój cel osiągnie, którym w danym razie jest ocalenie honoru.

Optymizm może być dwóch rodzajów. Jeden wynika z nieznajomości życia, polega na poglądzie, że wszystko pójdzie jak z płatka. Ten trwa krótko. Przy bliższem zetknięciu się z życiem pęka jak bańka mydlana, zostawiając po sobie rozczarowanie, niechęć do pracy, pesymizm. Cechuje on ludzi niedoświadczonych. Okres takiego optymizmu przebywa każdy człowiek w młodości. Obok tego bezpłodnego istnieje optymizm twórczy, wynikający z posiadania wielkiej energji życiowej. Zna on trudności życia, zna ogromną przemoc zła, odznacza się głębokim krytycyzmem, który nie pozwala zamykać oczu na przeszkody i mimo tego, a raczej właśnie dzięki temu, że zna potęgę przeciwnika, że posiada żywe odczucie rzeczywistości, wychodzi z ogniowej próby życia zwycięsko, stanowiąc siłę popędową dla celowego działania.

Takim optymizmem odznacza się Rodziewiczówna. Nie ukrywa ona ogromu zła: przedstawia je w całej jego potędze, przyczem potęga ta tak ją nieraz zatrważa, że zadaje sobie pytanie, czy zło jednak nie zwycięży? („Ragnarök”). Bohaterowie jej niezawsze cel osiągają. Często dążenia ich zło druzgocze a samych łamie, jednak ostatecznie idea zwycięża, lub pozostawia wiarę na zwycięstwo w przyszłość. Zło choć niszczy wyniki działań ludzi, choć materjalnie ich zabija, to nie łamie ich nigdy duchowo, nie prowadzi do upodlenia się bohaterów.

Ten twórczy optymizm, umiłowanie idei najwyższych: dobra i piękna, czynne ustosunkowanie się do życia, podkreślenie łączności życia ludzi z przyrodą, wszystko to składa się na wytworzenie nastroju siły, mocy, życia, na przeniknięcie utworów energją życiową. Dzięki tej energji, dzięki postawieniu w miejsce egoizmu i materjalizmu miłości i poświęcenia dla idei dobra i piękna, ucieleśnionych w religji, narodzie i kulturze, odcina się Rodziewiczówna stanowczo od minionej epoki i jest zwiastunem nowej, idącej.

My, młodzi, którym szczęśliwie w udziale przypada przygotować świat na jej przyjście, „prostować ścieżki Pańskie”, winniśmy Rodziewiczównie, jako jednej z naszych przewodniczek duchowych — cześć!

. . . .

Zbyt mało uwagi (mojem zdaniem) poświęca się twórczości Rodziewiczówny. Tymczasem twórczość ta przedstawia się bardzo interesująco nietylko z ideowych ale także z artystycznych względów. Dotychczas zna się Rodziewiczównę prawie tylko jako pisarkę „moralnych”*) powieści. Czas byłby zająć się intelektualnemi i literackiemi walorami jej utworów. Młodzi poloniści mają otwarte pole pracy.

H. B.

*) Wyraz „moralnych” wziąłem w cudzysłów, chcąc zaznaczyć, że moralność książek Rodziewiczówny nie jest ich jedyną ani nawet główną cechą. Wyraz ten bowiem działa deprymująco na czytelników. Książka moralna predestynowana jest w umysłach na nudną i nic nie wartą. Powiedzieć o powieści, że wywiera wpływ moralny, to wykreślić autora z koła żywych, a wydawcę skazać na pewną plajtę. Maluczko, a nowa komisja kodyfikacyjna zaliczy to do czynów przestępczych. Ostatnio podobno następuje zmiana na lepsze.

Jako optymista — wierzę.

NA JUBILEUSZ „STRATOSFERY“

Bończuczny rok

Już rok, jakby z bicza trzasł. Rok od pierwszego wzlotu „Stratosfery“. Że się to



Tadeusz Zygmunt Hernes

przedziwne bractwo uzewnętrzniło, niemała w tem zasługa prez. Pukackiego Marjana.

Jest to wielki wyczyn, biorąc pod uwagę specyficzną dla terenu akademickiego w Poznaniu oporność młodzieży względem pewnych przejawów życia kulturalnego, a właściwie kulturowego.

Bądźmy szczerzy! — Środowisko nasze mniej niż jakiekolwiek inne w Polsce okazuje zainteresowania „nierealjami“.

Kontakt ze sztuką odbywa się przeważnie i wyłącznie przy pomocy kina, a wszystkie „nowości“, któremi dziś tętni cały świat, dochodzą naszą młodzież „mimowoli“... w czasie oglądania „tygodników aktualności“. I to pod warunkiem, jeśli operator „uznał“, że warto „to“ nakręcić.

Próby ruszenia „stojących wód“ naszego uniwerku były już liczne i... zawodziły.

„Stratosfera“ porwała wszystkich. Porwała i zapłodniła, że się tak wyrażę, organizacyjnie.

Już bowiem zrodziły się pewne drobne jeszcze społeczności, nieliczni jeszcze (wprawdzie) wodzowie, którzy powoli zabierają się do mycia szyb i otwierania okien w ośrodku młodych na terenie Poznania skupionych przyszłych „filarów“ Polski.

Jest ta „Stratosfera“ zjawiskiem wprost niesamowitem na tle dzisiejszych ponurych czasów. Jej zawadjacki, bezpośredni niewymuszony humor, cięta satyra, kpiny z wszystkiego i wszystkich, ów sympatyczny bałagan, nawet brak zasadniczego kręgosłupa — jest czemś wyzywającem nasze uporządkowane życie. Tu się kryje czarujący pieprzyk tej imprezy. Ta łobuzerska dezynwoltura w sprytny sposób potrafiła się dobrać do utajonych w duszy naszej czynników buntu przeciw szufladkom, przeciw tyranji porządku i czasu.

I to jest tajemnica, czarodziejski chwyt, o sukcesie nienotowanym nigdzie i nigdy. Tu jest tajemnica owych tłumów, których sala



Ludomir Szeliga-Budziński

w Domu Akademickim nie może objąć. Ale owa sala, ozdobiona „portretem“ stratosferycznej gondoli nie jest — jak wszystkim tłomaczy H e r n e s, mała. Jest to złudzenie wywołane tem, że jej ściany są zbyt blisko siebie „położone“...

H e r n e s! Tadziolik Hernes! Żyje a już jest postacią legendarną! Mit — i dynamit „Stratosfery“! Bohater tylu procesów... twórczych, sławnych od Borzykowa do Zambrowa, czekający już od wielu lat na amnestję za... liczne niezapłacone mandaty karne, serdeczny przyjaciel z s t r o n n i c t w a (pochodzi od stronić) uniwerku (tylko, że on już 8 lat, a ja dopiero 6), pamiętny twórca klubu „Voluptas“ (zarejestrowanego na policji!), 100 procentowy spiritus movens i gadans „Stratosfery!“ Król, przepraszam, prezydent humoru (prezydent, gdyż dzięki pewnej konstytucji pewien prezydent zyskał silniejszą władzę niż cesarz Siamu i negus Abisynji), prezydent paradoksu! Niezwykle oryginalny, samorodny i jedyny w swoim rodzaju jest jego humor. Poprostu fenomen, — „kompleks Hernesa“. Z przedziwną nonszalancją i leciutkim uśmieszkiem, opokojnie, bez cienia mimiki i gestykulacji, „poważnie“, niejako na zimno, i zawsze improwizując (także paradoks — te dwa ostatnie zestawienia) operuje Tadek słuchaczy, którzy się — pardon za trywjalność — pokładają od śmiechu. A jego „powiedzonka“, ekiwoki, addideacje, kalambury — i jak tam to stylistyka jeszcze nazywa — wszystko to jest tylko jego, jemu tylko właściwe, u niego możliwe. U innych by nie „wyszło“.

E x c u s e z l e m o t — ale to genjusz swego rodzaju!



Stanisław Dzięgielewski

Albo G w i d o n M i k l a s z e w s k i, reprezentujący w „Stratosferze“ humor i satyrę, że się tak wyrażę, literacko — w najlepszym tego słowa znaczeniu. To także przedziwny przedziwny człowiek. Mało, że jest szalenie zdolny (również rysownik i karykaturzysta), ale jak na humorystę — niezwykły z jednego jeszcze powodu. Oto ten „naocznik i zausznik świata“, „Gwizdon aktualności“, Fox-Miklaszewski — śmieje się z dowcipów! własnych i cudzych!! Nawet bije brawo!!

Albo B u d z y ń s k i i D z i ę g i e l e w s k i, doskonali kompozytorzy i pianiści. Zresztą — pianiści — to oni już wszyscy. I jeśli o to chodzi, to sam Hernes choćby miał 1000 wrogów, potrafiłby ich utopić w drobnej części oceanu alkoholu, który zdążył wypić.

Co tu dużo gadać! O każdym z nich — a ilu ich jeszcze — utalentowany satyryk Jabłoński, „dyskretnie dowcipny Leon K o k o c i ń s k i“, piękny jak Narcyz (jak te niewiasty na niego patrzą, kiedy śpiewa!) piosenkarz S o k ó ł — możnaby „Głos“ zapisać i głos zedrzeć.

Trudno również nie wspomnieć o obdarzonym kunsztownym i finezyjnym dowcipem Adamie N i e b i e s z c z a ń s k i m.

O „Stratosferze“ szkoda pisać!! Ani nie wypada. Trzeba ją znać, trzeba słuchać. Trzeba się z nimi śmiać, wzruszać, śpiewać i pić. Inaczej — szkoda oliwy i czasu.

Jedno tylko.

„Stratosfera“ zyskała nadzwyczajną pozycję — nietylko na terenie akademickim. Jest ewenementem Poznania i nawet — ze względu na swą specyficzną oryginalność — Polski. To też jako że jest c o p y r i g h t b y Bratniak (ten czyn będzie mu liczony, musi być!) a sama jest spółką z nieograniczoną możliwością — mamy do niej prośbę: Nie umniejszając nic z swych atrakcyjnych momentów może i powinna w zgrabnej formie przemycać młodzieży akademickiej pewne „pierwsze potrzeby“ kulturalne. Pod tym względem ośrodek poznań-



Henryk Sokół

ski jest bardzo nieciekawy, jak się wyżej rzekło, a nikt i nic w równej mierze nie potrafiłby tu tyle zrobić, ile może „Stratosfera“. Toby się jej także policzyło. Chodzi mianowicie o teatr. Lecz o tem w następnym numerze.

J a n T o k a r s k i.

G w i d o n M i k l a s z e w s k i.

Bajeczka o rajskich wyborach

Kiedy Pan Bóg na chwilę od zwierząt odszedł,
by pójść na konferencję niebieskiego zarządu,
wstał z pośród zwierząt lew i wygłosił odczyt
na temat samorządu.

Zachciało się nagle zwierzętom
samemu rządzić podatkiem, gruntem i rentą —
więc dalejże myśleć i radzić,
jakby tę myśl tak szczęśliwie poczętą
najprędzej w życie wprowadzić.

By każdy zrozumiał osioł,
lew uroczyście i głośno ogłosił
rajskie wybory!
Zaznaczył, że trzeba składać z podpisami listy
i dodał, że kandydat na liście
musi być oczywiście
honorowy i do pracy skory —
oraz, że musi mieć ... łapy czyste.

I oto zaczęły się tarcia.
Ten tamtemu, tamten temu —
każdy chce do koryta do żarcia
i aż do samozaparcia
za łby się wodzą i czuby.

Potworzyły się partje, partyjki i kluby,
po to, by współzwierzętom prawić smalone,
wyborcze duby.
Powstały przeróżne bloki —
np. boa dusiciel plus zając
popełniły wielki shoking,
na liście razem stając.

Z psami połączyły się pchły
wbrew zresztą pieskich chęci,
razem do urny będą szły
pchły i psi — razem wzięci.

Tylko biedne, samotne i wzgardzone świnie
one jedne jedynie
się martwią,
węsząc sprytnym ryjem za odpowiednią partją.
Niuchają tu, chrząkają tam,
aż powiedziały se: — co rozum ci każe czyń!
i tak się rozwalił zgodny świński kram

. . . .

Zrobiono pyszną propagandę
na miarę ultra zwierzęcą —
Partje nigdy niczego nie szczędzą
na przedwyborczą grandę: —
papugi wysłano na wiece,
pełno ich w całym raju —
przydadzą się głosy kobiece
— niech przedwyborczo gadają!...

Reklama dała wyniki: —
na wiece zlazły się słonie, strusie, indyki,
żyrafy, goryle, wróble, psy i byki — —
i każdy wół rad nierad
dał się wprząc w wyborczy kierat!...

Rozumieć ma się,
że nawet w prasie
zaczęto się gryść wzajemnie —
(nawet w raju była prasa
i przedwyborcza kiełbasa).
Aż przyszedł dzień wyborów.

Hipopotam przy aplauzie gorącym
został przewodniczącym.
Ustawiły się zwierzęta
w dwu rzędach
z kartkami w zębach
i czekają
u wrót raju.

Hipopotam otworzył głosowanie.
Najpierw poszły panie:
słoniowa, lamparcica, strusiowa,
potem męska połowa.

Odrzucono pomysł ludzki, całkiem zresztą
durny,
by głosy składać do urny —
(„musimy być samowystarczalni“)
i dlatego zwierz każdy od słonia do szczura
składał głos swój do ... torby kangura!

Wybory były tajne (to znaczy: formalnie! —)
miano głosować kartkami, a nie inaczej.
A tu baran przylazi i mówi: — nieee...
po co tajnie? — czy to co znaczy? —
I ostentacyjnie w brzuch kangura beknie:
Beee Beeee...

Jak wiadomo, psy utworzyły blok z pchłami,
lecz wkrótce wszystkie dogi, setry i wyżły
powiedziały se: — pójdziemy do urny sami! —
i wszystkie pchły do szczętu wygryzły...

Do obliczania głosów
zaproszono kilka osłów.

Wciąż się biedne zwierzęta w rachunkach my-
liły —
taki wysiłek przerastał ich siły,
a tu jeszcze przy liczeniu światło czasem gasło
i nim się zrobiło jasno
coś się z głosami zrobiło...
(o wybory! o cudzie! o czarodziejska siło!)...

Wreszcie wybory skończono —
i już rozdano role
i uradzono,
że Rada
będzie obradować od przyszłej niedzieli —
i aby wszyscy wiedzieli,
że Rady słuchać wypada!...
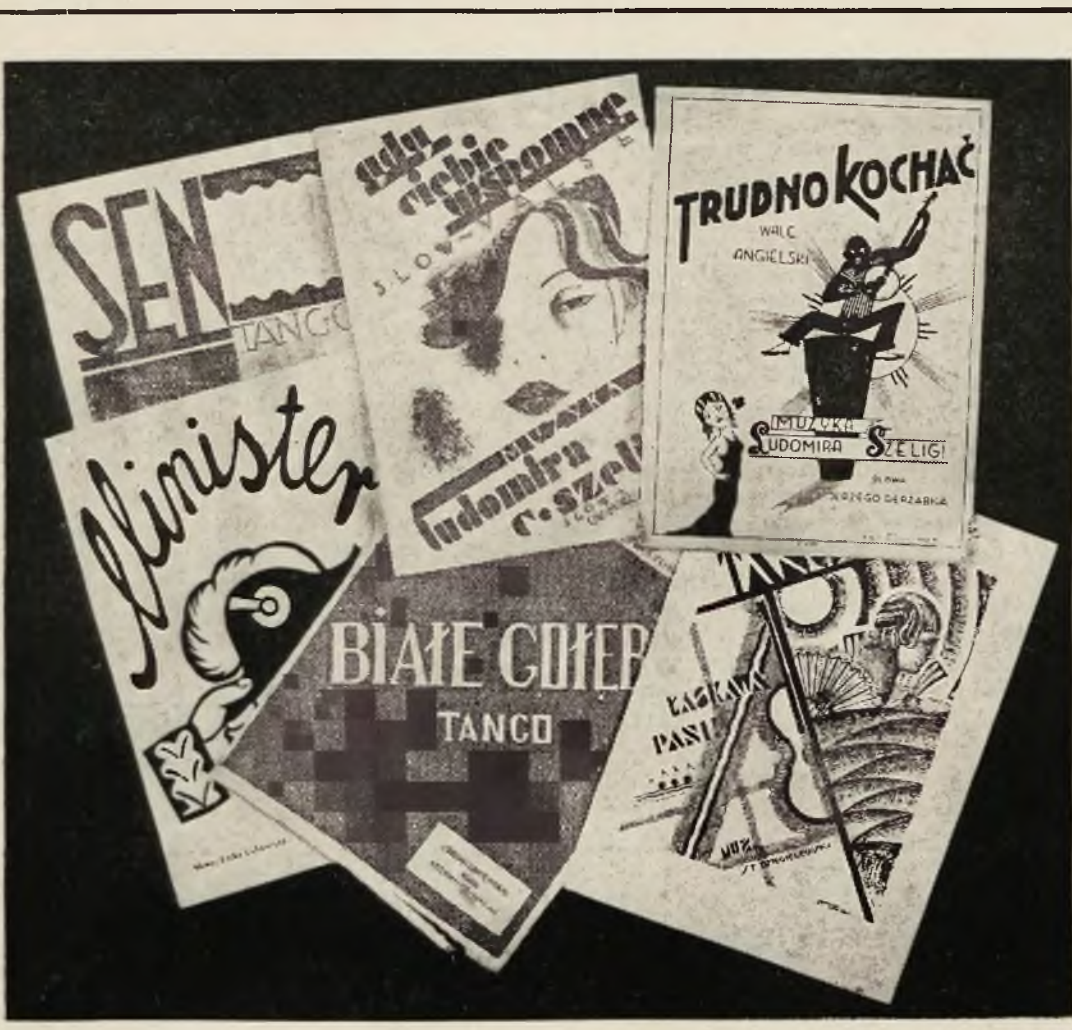
I od samego początku
byłoby wszystko w porządku,
gdyby nagle nie przyszedł Pan Bóg...

Zobaczył, co się dzieje,
że się rajski ustrój chwieje,
że tak się kłócą małpy, słonie, lwy
papugi, goryle i psy
i był zły...

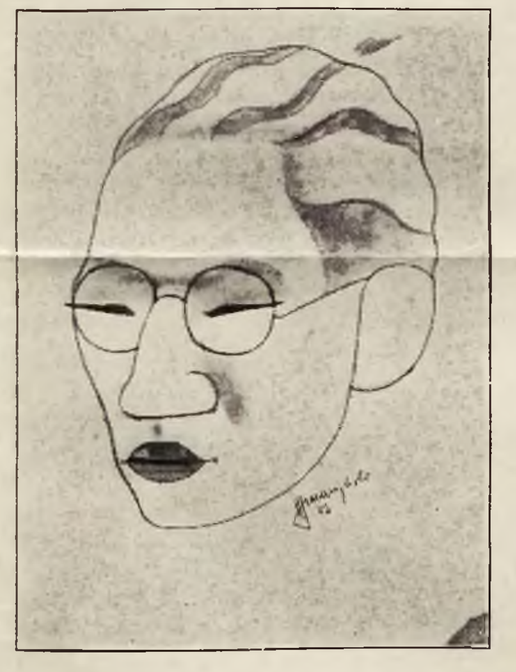
Ogłosił, by się zlazł
każdy zwierz i każdy płaz
i nawet każdy ptak.

A gdy się stało, przemówił tak: —

— Słuchaj niewdzięczna rzeszo hultajska,
słuchaj tego, co ja ci każę.
Znoszę waszą paRadę rajską
i mianuję Adama
k o m i s a r z e m !



Jeśli kiedyś Poznań stanie się ośrodkiem twórczym piosenki lekkiej, takim, jakim dziś jest Warszawa, to będziemy mogli śmiało twierdzić, że pionierami tego ruchu na terenie akademickim w Poznaniu byli w głównej mierze kompozytorowie „Stratosfery": Budziński i Dzięgielewski. Jeśli weźmiemy pod uwagę utwory tych młodych muzyków, którzy drukiem wydali dotychczas sześć kompozycyj, to uderzy nas przedewszystkiem ich oryginalność. Niema w nich nic sztuczności, są dziwnie bezpośrednie, proste i zawsze się je mile



Gwidon Miklaszewski

słucha. Nie są to też piosenki szablonowe, niema w nich „kradzionych" motywów, a przytem cechuje te kompozycje „lechickość", niespotykana np. w utworach warszawskich.

Nie należy się więc dziwić, że utwory „Stratosfery" mają powodzenie nietylko w Poznaniu, lecz rozchodzą się po całej Polsce. A zasługują na to temwięcej, że przecież ich twórcy są zarazem i wydawcami i na własne ryzyko drukują swe utwory, pokonywując przytem liczne trudności natury materjalnej.

Pierwszą poznańską piosenką, która odrazu stała się „szlagierem", była „Łaskawa Pani" Dzięgielewskiego, nucił ją cały Poznań — obecnie jest ona nagrana na płyty. Drugim szlagierem stały się „Białe gołębie" Budzińskiego, komponującego pod pseudonimem „Szeliga", nagrane również na płyty. Osobną wzmiankę należy poświęcić „Ministrowi" Dzięgielewskiego, który to utwór skonfiskowano ze względu na tekst, dotychczas jednak „pokutuje" wśród społeczeństwa akademickiego.

Do nowych piosenek „Stratosfery" należy zaliczyć sentymentalny walc angielski „Gdy ciebie wspomnę" Budzińskiego. Walc ten w istocie swej jest piosenką raczej salonową, upojną i dlatego można mu wróżyć długi żywot. Nastrojowe tango Dzięgielewskiego „Sen" zdobywa sobie coraz więcej zwolenników i coraz więcej popularyzuje się dzięki swej wysokiej wartości. W najbliższym czasie będzie ono już nagrane na płyty, a wtedy „upowszechni" się jeszcze bardziej.

Ostatnią wreszcie piosenką „Stratosfery" jest przemiły walc angielski Budzińskiego p. t. „Trudno kochać". Kapitalny tekst i łatwo w ucho wpadająca melodja pozwalają spodziewać się, że piosenka ta stanie się szybko „szlagierem", zwłaszcza, że jest jeszcze „ciepła", dopiero co wydrukowana. Będzie ona prawdopodobnie również nagrana na płyty.

Jak widzimy dorobek „Stratosfery" obejmuje sześć piosenek, wydanych w okresie kilkunastu miesięcy. A jest to przecież dopiero początek. Sądzimy, że jeszcze usłyszymy dużo więcej kompozycyj Budzińskiego i Dzięgielewskiego i że ci młodzi, tak dobrze zapowiadający się muzycy, nie zawiodą pokładanych w nich nadziei i niejeden jeszcze „szlagier" stworzą, przyczyniając się temsamem do oczyszczenia zachwaszczonej żydowskimi plagjatami muzyki lekkiej.

r.

Ludomir Szeliga-Budziński.

Muzyka w „Stratosferze"

Często spotykam się ze zdaniem, że naogół część muzyczna w naszej sympatycznej „Stratosferze" stoi wyżej, aniżeli część literacka, przyczem nie szczędzi się czasami ostrych słów krytyki pod adresem młodszych literatów. Dzieje się to może nawet automatycznie, wbrew naszej woli. Muzyka stanowi w „Stratosferze" część urozmaicającą, niejako tło dla produkcyj literackich. Zrozumiałą więc jest rzeczą, że skoro się dwa np. wiersze przeplecie jednym utworem muzycznym, to ten siłą rzeczy nabiera żywszych barw i tem milej go się słucha, im jest lepszy a wiersze słabsze.

Stosunek ten byłby jednak zachwiany, gdyby utworów muzycznych było więcej, niż literackich. Byłoby niemożliwością opracować „większą ilość" muzyki z tą starannością, co mniejszą, a u słuchacza napewno dałby się zauważyć przesyt i znudzenie. Nie znaczy to jednak, jakobyśmy wkładali w część muzyczną mniej zachodu i trudu. Zresztą ambicją każdego z nas jest dać z siebie jaknajwięcej. Nie każdemu też wiadomo, ile kosztuje „ugotowanie" takiego „bigosu", czy przygotowanie jakiegoś duetu. Ilu do tego potrzeba prób, ile czasu i pracy, zanim publiczność utwory na „Stratosferze" usłyszy. A niezawsze się jeszcze tak uda, jakby się chciało; czasem wykonawca w ostatniej chwili zachrypnie, a pianiście palec spuchnie itp. A publiczności tego wiedzieć nie wolno, a zresztą nic ją to nie obchodzi. Jeśli więc strona muzyczna ma pewną supremację nad „literaturą", to właśnie dlatego, że staramy się unikać i zapobiegać różnym niemiłym wypadkom, a utwory przed wykonaniem ich opracowujemy i „polerujemy" w granicach możliwości.

Świadome wysuwanie jakiegoś utworu muzycznego na plan pierwszy zachodzi u nas tylko w jednym wypadku, mianowicie wtedy, gdy się forsuje jakąś piosenkę w zamiarze, by ją publiczność podchwyciła. W języku muzycznym nazywa się to „robieniem szlagieru".

Publiczność, przeważnie akademicka, bardzo żywo reaguje na nasze wysiłki, zdążające do stworzenia regjonalnej i oryginalnej piosenki i zato należy jej się wdzięczność i uznanie! Jest to dla nas zachętą do dalszej pracy w tym kierunku, a zarazem dowodem, że jednak nie wszyscy uznają pseudo-polskie piosenki o wątpliwej wartości i oryginalności, importowane via Nalewki. Tembardziej zatem starać się będziemy o to, by wszyscy sympatycy naszych wieczorków słyszeli na „stratosferach" muzykę zdrową, postawioną na odpowiednim poziomie artystycznym, muzykę polską.

Przeżycia z „kraju lat dziecinnych"

W TWÓRCZEJ WYOBRAŹNI ST. PRZYBYSZEWSKIEGO

II.

Oto wizerunek duchowy Przybyszewskiego z okresu dziecięctwa, wizerunek, jaki da się skreślić na podstawie tego, co sam o sobie napisał. Zastanawia przytem jedna rzecz. Przybyszewski żywo interesuje się sobą, swem ja. Interesuje się szczególnie z chwilą, gdy uczuł, że rozwój jego osobowości skończył się już, że rzeczywistość jego nabrała pełni, stała się dojrzała. Nie pozostawało teraz, skoro się zrozumiało, że ducha się swego światu w całej nagości i bogactwie objawiło, nic innego, jak kontemplować, doszedłszy kresu, siebie samego, swój żywot, swoją działalność, swoje dzieje, zanurzać się w ciemną głębię swej istoty, trudzić się nad rozwiązywaniem wiekuistej zagadki celowości swego tu na tym biednym padole płaczu pojawienia się. Przed nieuniknionem zabłąkaniu się w swej dżungli, pełnej Sfinksów ratowała metafizyka, do której predylekcję czuło się zdawien dawna. Ona wznosiła umysł na niebosiężny szczyt. Z tak wysokiego punktu widzenia można było objąć bez trudu całe życie minione i doszukiwać się jego sensu. Metafizyka pozwalała również na kanwie wrogiej, ponurej, bolesnej rzeczywistości dzierżgać piękne i cudowne arabeski wiary w metampsychozę, w reinkarnację. Pod jej szkłami życie nabierało ostrych konturów, stawało się wyraziste, odbijały i odcinały się plastycznie poszczególne jego etapy. A podstawą jego, zasadą, źródłem — łacno to spostrzec — było dziecięctwo.

Cóż więc dziwnego, że Przybyszewski tak chętnie i tak często wracał wspomnieniami do najrańszych swych lat? One to przecież nadawały ton późniejszemu żywotowi, wykreślały jemu granice, naznaczały go piętnem cnoty lub zbrodni, doli lub niedoli, szczęścia lub przekleństwa, wieczystych wzlotów lub wieczystych upadków, zwycięstw lub klęsk, genjalności lub mierności. Przybyszewski rozumiał to doskonale. Dziecięctwo dlań posiadało niesłychaną wagę, jako granitowy fundament jego duszy i chcąc poznać swą duszę, należało poznać wpierw ten jej fundament. Tem bardziej, jeżeli było się głęboko, jak Przybyszewski, przeświadczonym o swej odrębności i jedyności, i że się tę jedyność i odrębność najpełniej wyraziło właśnie w dziecięctwie.

I w istocie, Przybyszewski nie wyszedł poza obręb dzieciństwa. Skonfrotujemy tylko obraz Przybyszewskiego — dziecka, nakreślony powyżej przez nas, z obrazem Przybyszewskiego — twórcy, Przybyszewskiego — myśliciela, Przybyszewskiego — człowieka, a zauważymy, jak nikłe jest to, czem się różnią one. Ten kilkoletni chłopak to już cały bezmała Przybyszewski. Wydaje się, że autor „Krzyku" nie doznał głębszego, istotniejszego rozwoju, pchany siłą swej duszy z dziecięctwa, której poddawał się biernie, jak lunatyk. Cała „średniowieczność" Przybyszewskiego, czy „niedojrzałość", jak starano się indywidualność tę zdefinjować, na tem właśnie polega, że Przybyszewski był żywem zaprzeczeniem osobnika „kulturalnego". Bo kultura zasadza się na mniej lub więcej intensywnem wchłanianiu wartości zewnętrznych, istniejących poza mną i ode mnie bezpośrednio niezależnych. A Przybyszewski nic nikomu i niczemu nie zawdzięczał. Jakimkolwiek był — był zawsze sobą i tylko sobą. Bo Przybyszewski to — sit venio verbo — Naga Dusza, to wspaniała emanacja tej siły kosmicznej, demaskowaniu której sam poświęcił całe swe życie, a więc i twórczość artystyczną.

Życie okryło ją mimo wszystko dość gęstą korą, stłumiło do pewnego stopnia jej drgnienia i fluktuacje. W dziecięctwie poety żyła niczem niekrępowana, potężna, wielka, nieokiełznana, nieuświadomiona, ale też i na tem jej moc i sens polegały. Impulsywna, ekstatyczna, spontaniczna natura twórcza Przybyszewskiego ujawniała ją, objektywizwała i wyzwalała z obieży tej lacrimarum vallis. Potrzeba było tylko odpowiednio wysokiej temperatury ducha, by wprawić się w trans cudotwórczy. A gdy to się stawało, wtedy błyskawica jednej jedynej świadomości przedzierała na chwilę gęstym mrokiem spowitą tajnię Bytu, a leżące w niej potęgi „nagiej duszy" porywały się z bezruchu, by w nagłej enycji przelać się i zobjektywizować w utwór artystyczny, będący właśnie in statu nascendi. W ślad za niemi i przeżycia z lat dziecinnych, z kraju rodzinnego poczęły się aktualizować i stawać się w twórczym przebiegu elementami immanentnemi dzieła literackiego. Stanowiły one — te ostatnie — cielesną jakgdyby powłokę „nagiej duszy" Przybyszewskiego, co się w dziecięctwie, powtarzamy, najpełniej objawiła. Stąd niesłychana rola, jaką one w wyobraźni twórczej pełnią i to zarówno w odniesieniu do rapsodów pietyckich, jak i do dramatów i powieści.

Dla zilustrowania naszych rozważań niechaj posłuży kilka wyjątków z jego utworów. Nasamprzód kapitalny ustęp z „Na tym padole płaczu". Krótko po (dość prozaicznem) rozstaniu się z ukochaną, poeta poczyna nanowo, ale już w formie spotęgowanej przeżywać swą miłość ku niej. W pewnej chwili jawi mu się taka wizja:

„Począłem się uspokajać, mówiłem głośno, bałem się i byłem szczęśliwy, że słyszę samego siebie w tej głuchej, pustej samotności, kwiliłem jak dziecko, wyłem jak biczem smagane zwierzę, klęczałem i załamaływałem ręce.

— Przyjdź, jasna, przyjdź, połóż twe białe, miękkie ręce na mem sercu! Patrz, jak jestem chory i samotny, potrzebuję ciepła i miłości, przyjdź, jasna, weź w twe dobre, ciche dłonie me serce. A oto jestem w kościele. Jestem, małe chłopię, owiany błogą świętością bóstwa, błogiem szczęściem, utkanem z miękkich jedwabiów, w sercu grają anielskie chóry, poraz pierwszy przyjmuję Ciało Pańskie.

A moje serce staje się bóstwem, Ciałem Pańskiem, świętą hostją.

Przyjdź, weź hostję mego serca w twe miękkie ręce, przyjdź! A przybież się w jedwabny, złotem tkany ornat kapłański, a teraz podnieś twe ręce w górę, ponad ciało wszechbytu, podnieś wolno, poważnie z świętem namaszczeniem twe przeczyste ręce. Tu na stopniach ołtarza... Drży świat, kornie kładą się pola, rozbrzmiewa las."

Owa ekstaza, jaka ogarnęła poetę, poruszyła najgłębsze, najpierwotniejsze, najistotniejsze warstwy duszy. Przeżycia aktualne erotyczne skojarzyły się z przeżyciami religijnemi lat dziecięcych. Jest teraz małym Stasiem, którego, jeżeli gdzie to tylko w kościele, w najciemniejszym kącie zaszytego, odnaleźć można. Poi się właśnie rozkoszą, płynącą od stóp ołtarza, na którym spełnia się ofiara Pańska.

Nagle zachodzi assocjacja obrazu kapłana z obrazem ukochanej. W sercu poety, którego świadomość to o epokę odległą to o chwilę bieżącą zahacza, rodzi się gorące pragnienie, by jego ukochana przybrała się w jedwabny złotem tkany ornat kapłański i wzięła do rąk swych miękkich hostję jego serca.

„Jak tutaj obrzędy kościelne, kojarząc się z przeżyciami miłosnemi, są ich wykładnikiem artystycznym, nadają spirytualny charakter tym przeżyciom, a jednocześnie świadczą o głębokiem przejęciu się poety artystyczną wartością liturgji katolickiej, tak samo świadczy o tem wprowadzony dalej motyw pieśni „Salve Regina". Tony tej pieśni układają mu się rysy kobiety umiłowanej."

Miejsc takich znajdujemy w rapsodach poetyckich Przybyszewskiego bez liku. W dramacie „Mściciel" pisze on wręcz o sobie: „Dusza moja teraz to odłogiem leżący ugor, na którym wicher jesienny w piszczelach zeschłych ostów jakieś szatańskie Requiem wygwizduje".

Przeżycia z okresu dziecięctwa grają również ogromnie doniosłą rolę w dziedzinie twórczości, tak silnie refleksyjnej, a tak mało emocjonalnej, jak powieść. Aczkolwiek u Przybyszewskiego niema żadnej akcji, gdyż opisuje jedynie życie duszy, a wypadki zewnętrzne są tylko „kulisami duszy — takiemi kiepsko pomalowanemi kulisami, jakie napotkać można w teatrzykach amatorskich na prowincji" — przecież i tutaj, w powieści, unosi się wizja lat dziecięcych, a więc i ziemi kujawskiej. W duszy bowiem poety, w twórczym przebiegu dokonywało się przedziwne misterjum transformacji owych wizyjnych, plastycznych, elementów ziemi rodzinnej na elementy immanentne, psychiczne dzieła. Taka np. Maryt z „Homo sapiens" jest niczem innem, jak tylko emanacją artystyczną, czy wykładnikiem psychicznym ziemi rodzinnej. Uświadamia sobie to sam poeta i tak motywuje to zjawisko:

„Maryt a ziemia rodzinna to jedno, bo Maryt miała coś szerokiego, jakąś cichą, a samotną zadumę na swojem czole. Cóż z tych pojedyńczych ostrych kształtów płaszczyzny, którą tak bardzo ukochał."

Czyż potrzeba bardziej przekonywujących dowodów na to, by wykazać, czem były dla Przybyszewskiego—twórcy i artysty dziecięctwo i Kujawy?

Remigjusz Ney.

Twórczość Mieczysława Karłowicza

(W 25-tą rocznicę śmierci)

Dnia 8 lutego b. r. upłynęło 25 lat od czasu, kiedy muzyka polska straciła jednego z najlepszych swoich symfonistów, Mieczysława Karłowicza, — człowieka niepośledniej wartości idealnej, artystę o wyrobionem poczuciu duchowem,· — kompozytora, który otworzył jej wrota do „przyszłości". Tragedja, która rozegrała się w Tatrach u stóp Małego Kościelca, przecięła pasmo życia młodego, bo 33-letniego pieśniarza, oddając je nieubłaganej „białej śmierci" w chwili osunięcia się śnieżnej górskiej lawiny.

Mieczysław Karłowicz — to jednostka bardzo wrażliwa i subtelna, — to natura żądna wzruszeń, znajdująca największy sens życia w sztuce i w obcowaniu z Tatrami, w których szuka ukojenia oraz zapomnienia przeżytych bólów i trosk; — to typ uczuciowego taternika, który w walce z górami zdobywa ekstatycznie niezależność i wolność, stwarzając sobie „chwilowy powrót do niebytu". Jako przedstawiciel ówczesnej „Młodej Polski" w muzyce, Karłowicz żywo interesuje się wszelkiemi objawami współczesnej twórczości muzycznej, studjując w Warszawie, w Berlinie i w Lipsku, gdzie opanowuje w zupełności kompozycję oraz technikę kapelmistrzowską.

Muzyka symfoniczna jest podstawowym terenem jego twórczości, pomimo to, że ta ostatnia nie zostaje należycie oceniona, ani przez świat muzyczny ,ani też przez społeczeństwo. Na 3 lata przed śmiercią, t. j. w r. 1906, Karłowicz przenosi się na stałe do Zakopanego, skąd często wyjeżdża zagranicę, w poszukiwaniu niezbędnych dla niego muzycznych wrażeń. Rok 1909 — to moment najpełniejszego rozwoju jego talentu i poezji, zastygłej wskutek niespodziewanej i nieubłaganej śmierci.

Zasadniczym rysem jego twórczości — to zarzucenie formy symfonji jako cyklu o ustalonym z góry schemacie. Karłowicz, będąc naturą indywidualną, uznaje formy niczem nieskrępowane i niezależne, wyrazem czego są jego poematy symfoniczne oraz suity pogłębione symfoniczne.

Niezależnie od wielu pieśni solowych, które zresztą nie są ani miarą talentu, ani też miarą indywidualności kompozytora, muzyka polska odziedziczyła po nim szereg utworów fortepianowych, skrzypcowych i orkiestrowych. Z tych ostatnich wymienić należy: 1) symfonję „Odrodzenie", 2) poematy symfoniczne: a) „Powracające fale", b) „Trzy odwieczne pieśni", c) „Litewska rapsodja", d) „Stanisław i Anna Oświęcimowie", e) „Smutna opowieść", oraz 3) dramaty „Biała gołąbka" i „Epizod na maskaradzie", niedokończony wskutek tragicznej śmierci (uzupełniony przez G. Fitelberga).

Cała twórczość Karłowicza nacechowana jest wielkiemi aspiracjami do rozwinięcia pełni swej indywidualności. Najwyższą wartość tej indywidualności twórczej stanowi idealna, niczem nietamowana szczerość w wypowiadaniu swoich uczuć i myśli, bez względu na uznanie jej lub zrozumienie.

Pierwsze pieśni — to „grzechy młodości", (jak je nazywał skromny twórca), niepozbawione pewnych reminescencyj z dzieł innych kompozytorów, ale bardzo poprawne i obdarzone nieklamaną inwencją. Mylne byłoby przypuszczenie, że cała twórczość Karłowicza związana jest ściśle z Tatrami. Ktokolwiek zna duchową treść jego dzieł, ten z całą pewnością uzna to przypuszczenie za fałszywe i bezpodstawne z punktu widzenia logicznego.

Najważniejszym czynnikiem twórczości muzycznej znakomitego symfonisty była Miłość. Niema prawie jednego większego dzieła, w którym Karłowicz nie poruszyłby tego potężnego czynnika psychicznego, mającego może najsilniejszy wpływ w dziedzinie poezji i muzyki. Tuż za Miłością postępuje w jego dziełach Śmierć, stwarzając równie silne momenty sytuacyjne, niespotykane może od czasów Chopina.

„Pieśń o miłości i o śmierci" z cyklu „Trzy odwieczne pieśni" — to skojarzenie tych 2 czynników psychicznych w myśli twórczej Karłowicza. Dalej występują motywy przypomnienia, jako czynnika niszczącego równowagę duchową, oraz motywy wiecznej tęsknoty za słońcem lub wiecznością.

Źródła pesymistycznych nastrojów duszy Karłowicza znajdują swoje wytłumaczenie w jego życiu prywatnem oraz w jego poglądach filozoficzno-przyrodniczych. Wszystkie jego dzieła przenika zagadnienie duszy, owianej beznadziejnością i dziwnym smętkiem. Smutny ton nastrojowy przebija nawet i tam, gdzie kompozytor odbiega chwilowo od zagadnień psychicznych, np. w „Rapsodji litewskiej", będącej niejako odbiciem rzewnego litewskiego krajobrazu i litewskiego ludu, — będącej ich „prawdziwą duszą".

„Pieśń o wszechbycie" — to symbol twardych i niezmiennych praw, oraz uosobienie nieubłaganej obojętności wobec wszystkiego, co przenika duszę człowieka, — to symbol plastycznie uwydatniony wymową t. zw. górnych tonów, które pełnią duszy kompozytora przenikają brzmienie pieśni.

W twórczości Kasprowicza są i obce wpływy, jak wpływy Wagnera, Griega oraz Czajkowskiego; jest to objaw normalny i drugorzędny ze względu na to, że wszystkie dzieła kompozytora wykazują panowanie nad środkami wielkiej sztuki symfonicznej i wewnętrznej z ideą tych dzieł; wszędzie poza tem zachowana jest równowaga między formą i treścią. Z historycznego punktu widzenia twórczość Karłowicza jest najwyższym wykładnikiem polskiego neoromantyzmu w muzyce symfonicznej, a zarazem pomostem między genjalną twórczością Chopina i nową sztuką Karola Szymanowskiego.

Marjan Łebkowski.

PO STU LATACH

(Artykuł dyskusyjny)

Zawiedziony w miłości romantyk nazwał kobietę „puchem marnym" i „wietrzną istotą". Po stu latach Morozowicz-Szczepkowska z tej samej przyczyny ośmiela się nazwać mężczyznę ....„ścierwem".

Rewanż, czy signum temporis?...

Raczej to drugie. Bo wątpię, czy autorka „Sprawy Moniki" zamierzała dać odwet Mickiewiczowi.

Ktoś kiedyś powiedział, że literatura jest zwierciadłem życia. Jeśli w to wierzyć — trzeba stwierdzić, że przez ostatnie sto lat dokonała się poprostu rewolucja społecznej pozycji kobiety.

Ale niestety w tym wypadku owa aktualna literatura odbija tylko prądy i dążenia garstki, lub części rodu niewieściego. Bo kobiety nie umieją być solidarne. Cóż z tego, że p. Szczepkowska przebojem narzuca nam swoisty „pogląd na mężczyzn", że na łamach różnych pism ukazują się śmiałe artykuły na temat uzdolnień zawodowych i wszechstronności pracy kobiet. Wydaje się napozór, że jesteśmy już na najlepszej drodze. Aż oto raptem jedna z nas, składając pokornie broń, przyznaje się szczerze do bezsilności, pisząc: ....żadna posada bezpośrednio nie może dać kobiecie szczęścia osobistego" — bo znaleźć je może tylko w rodzinie.

Zasadniczą rzeczą jest fakt, że takie samooskarżenie rodu niewieściego jest zupełnie niesłuszne. Należy bowiem rozróżnić dwie odrębne sfery życia ludzkiego: pracę zawodową i miłość. Na to, co nazywamy zwykle szczęściem, składają się więc dwie rzeczy: 1) zadowolenie ze swego zawodu i 2) t. zw. szczęście osobiste, czyli pomyślne odszukanie „swojej drugiej połowy". Bywają wypadki, że ludzie rozkochują się w swoim zawodzie, oddają się pracy z całą energją i zapałem. Twierdzą wtedy: znalazłem w zawodzie pełnię szczęścia. Często jednak po pewnym czasie ogarnia ich pustka, brak im jeszcze czegoś do zupełnego zadowolenia.

Ryzykuję więc pytanie: czy mężczyźnie jakakolwiek posada może dać pełnię szczęścia osobistego? I ryzykuję odpowiedź, że nie. Dalszy stąd wniosek, że kobiety mogą w swoim zawodzie czuć się dobrze w tym samym stopniu, co mężczyźni. Podkreślam: w tym samym stopniu. Bo przecież mężczyznom także życie, pozbawione tego małego „czegoś", co zwie się miłością i rodziną, nie da osiągalnego maximum szczęścia.

Lamenty na temat zatraty kobiecości pod wpływem różnego rodzaju studjów i prac zawodowych — są dziś wytartemi komunałami ludzi, którzy, nie obserwując życia, stwarzają sobie staroświeckie teorje. Owa tak bardzo lubiana przez mężczyzn „kobiecość" jest darem wrodzonym, należy do typu, którego nie zmieni pewna doza wykształcenia fachowego. Najczęściej atakuje się medycynę, jako zawód mało odpowiedni dla kobiet. A tymczasem istnieją dziesiątki lekarek bardzo miłych, łagodnych i subtelnych, podczas gdy niektóre herod-baby zaczęły i skończyły swą edukację na szkole gospodarczej.

Ale nietylko o „wdzięk" nam chodzi. Aprobując bowiem zdanie, że kobieta nie może znaleźć szczęścia w pracy zawodowej — odbieramy sens wszelkim studjom kobiecym. Bo cóż warta praca, odrabiana z musu, jako zło konieczne w okresie przejściowym do życia małżeńskiego? Przecież tylko w zdrowej energji i zapale tkwią siły twórcze.

A te „pokrzywdzone", których udziałem nie będzie własne ognisko rodzinne — czyż mają przez całe życie odrabiać z niechęcią haracz niewolnic — bez tej miarki zadowolenia, którą znajdują w pracy samotni mężczyźni?!

Jednakże część kobiet dobija do tej przystani. Lecz wkrótce młode żony opuszczają dom, by stanąć do pracy zawodowej. Bezwzględnie jest to objaw nienormalny. Dom musi ucierpieć z tego powodu. Szczególnie wychowanie dzieci. Jednak przeważnie jest rzeczą niemożliwą w obecnej sytuacji przeprowadzić ustawowo zakaz pracy zamężnych kobiet poza domem. Są rodziny, gdzie zarobek męża jest tak minimalny, że nie wystarcza nawet na wyżywienie. Znam krawcową, której mąż już od kilku lat jest bez pracy, a ona, szyjąc po różnych domach, utrzymuje całą rodzinę.

Gdzież tu deklamować o powrocie kobiety do rodziny, dlatego, że powinna stworzyć z rodziny „konsumenta narodowej kultury"? W innej znów rodzinie kobieta swą pracą biurową utrzymuje troje dzieci, bo mąż opuścił ją i poprostu... znalazł inną. Zdarzają się wypadki, że przeraźliwe sknerstwo męża zmusza kobietę do zarobkowania, gdyż nie chce rezygnować z najkonieczniejszych potrzeb kulturalnych. Wreszcie — są kobiety tak mało przygotowane do małżeństwa, że nie umieją należycie rozplanować budżetu, czyli „związać „końca z końcem", wskutek czego muszą zarobkować.

Te wszystkie bolączki można ująć w kilka konkretnych postulatów.

Czego potrzeba, by można było wydać prawny zakaz pracy mężatek?

1) Mąż musi otrzymywać normalną płacę, 2) przynosić ją uczciwie żonie, 3) żona musi umieć korzystać roztropnie z tych pieniędzy i być dobrą gospodynią, 4) ustawodawstwo musi należycie uregulować sprawę porzucania rodziny bez zasadniczych powodów.

Oto wytyczne dla pracy wszystkich obrońców rodziny. Skoro jednak te postulaty urzeczywistnią się, zbyteczny będzie przymus prawny dla sprowadzenia mężatek do ogniska domowego, gdyż one same będą chciały tam pozostać.

Zofja Karczewska.

Z NOWOŚCI WYDAWNICZYCH

„Tylko dla kobiet" Adolfa Nowaczyńskiego

Największy polski satyryk wydał w ostatnich dniach dwa nowe tomy: „Plewy i perły" oraz „Tylko dla kobiet". Są to zbiory celniejszych felietonów, zamieszczanych w pismach w roku ubiegłym.

Drugi z wymienionych tomów poświęca autor rodzajowi subtelniejszemu, inteligentniejszemu, rodzajowi przyszłości — kobietom. Oczywiście to znowu chwyt satyryczny. Bo jak wierzy w autonomję kobiecą Nowaczyński, w cnotę „emancypanter", w moralność „boyowniczek" i „Filistynek", w wieszczenie „kobiecin-kabotynek" wie każdy, kto się zaznajomił z komedją: „Wojna wojnie", negligującą rzeczywistość i pozorną nierzeczywistość, czyli sfere działania i myślenia irracjonalnego w sposób nieporównany.

Treść „Tylko dla kobiet" wykazuje, jak niezmiernie daleko i tej drugiej stronie do doskonałości, kiedy artykuły rozpowiadają o garderobie duszy Napoleona albo Heinego. Treść książki dowodzi, że nie zawsze kobieta powinna po myśli Asnyka (motto pierwszego rozdziału) z mężem swoim „zwyciężać albo upaść z nim razem", bo nie zawsze (jak ów wielki Carlyle) mąż jest tego godzien. Nowaczyńskiego cechuje bezgraniczna śmiałość słowa, przekraczająca granice naturalizmu, oszałamiająca umiejętność operowania produktami stylistycznemi, ostrzących i złocących metal codziennej mowy, arsenał nowotworów, kalamburów, gry słów i nadewszystko bezcennej congeries. Treściowo szczery zachwyt dla sztuki pisania Nowaczyńskiego psuje zachwyt pozaartystyczny, a raczej podziw dla bogactwa myśli skarbu kultury czytelniczej i wirtuozostwa skojarzeń wyobrażeń pisarza. Oto przewodnik, który nas zawiedzie do tajemniczego źródła twórczości Nowaczyńskiego — jego słowa własne:

„i u nas można się zdobyć na wydajność pisarską... Tylko trzeba nieco, jak to mówią, przysiąść fałdów, zdecydować się na mniej więcej czternasto- a bywa, że i szesnastogodzinny dzień pracy. I trzeba dużo, bardzo dużo czytać. Wystarczy do trzydziestu dzienników dziennie, ale z końcem tygodnia tyleż tygodników i miesięczników, książek się nie liczy. I dopiero z taką intensywnością studjując i pracując przez lat kilka czy kilkanaście — można sobie wyrobić pewną kulturę publicystyczną, która pomaga potem w jakiem takiem orjentowaniu się w całokształcie bieżących zjawisk, przemian, problemów, procesów politycznych, socjalnych, narodowych, państwowych, ideowych, literackich, artystycznych. Bez czytania nałogowego niema pisania. Bez pracy niema kołaczy. Poza pracą non est salus. Na jeden dzień ugorowania nie można sobie pozwolić."

Są to słowa z przedmowy do „Plew i pereł". Możemy być dumni, że człowiek, który idzie krok w krok z aktualnością, orjentuje się tak doskonale w komplikacjach dzisiejszego organizmu świata i wie, gdzie życie biegnie, że człowiek ten najwyższe dobro widzi w religji (katolickiej) i narodzie. I dlatego odczuwamy pisma jego tak silnie, jakby był obok nas, bo jemu zależy na każdej uncji prawdy i natchnienia, na stosunku do każdego czytelnika (świadectwem nr. jubileuszowy „Wiadomości Liter.", „Kiedy byłem piłsudczykiem?")

Więc dlatego książka Nowaczyńskiego ma walory „aktualno-konjunkturalne", ale nie wyłącznie, bo jest w niej ogromny talent ironji i inkrustacja „niemodem mądrości kryształkami promieniującego radjum, klejnotami doświadczeń" i doznań, maksymami i morałami przewodniemi, traktatami moralnemi w pigułkach, przypowieściami na każdą niedzielę i święta". Są tam „ostrzeżenia dla wodzów, zwycięzców i zwyciężonych", „światełka dla ślepców". „Tylko dla kobiet" jest to zbiór portretów wielkich ludzi: mężczyzn i kobiet od strony prywatnej, najczęściej od strony miłości, na tle obyczajów i wieków. Największą utylitarną zasługą dzieła jest wglądnięcie w nieczystą kuchnię reformacji seksualnej i wyświecenie tych brudów.

Jak potężna rzeka podziemna dudni pod nabrzmiałą teraźniejszością i aluzjami zbiorem „Tylko dla kobiet" wiara w moc i wszechpełnię narodu. Zawsze, bo u Nowaczyńskiego dojrzeć można „już gołem okiem bez szkieł drugą, wtórną, wieczystą sprawę polską." I nic dziwnego, że duma pisarza rośnie ze wszystkiego, co polskie. Jego umysł rwie ciekawość do Polaków i Polek, które czemś były w historji i to „pieszczeni" się wielką polskością ciągnie go aż do przesady jej oceny (Szekspir), ale sentymentowi temu zawdzięczamy galerję arcyportretów Polaków i Polek znanych w Europie. W ostatniej książce wczuwa się Nowaczyński świetnie w tło epoki — niech zaświadczą rozdziały: „Frau Hoffmann" i „Dagny i Przybysz", przypominające i stylem i ujmowaniem i barwą charakterystyki St. Wasylewskiego.

W momencie kiedy literatów „jest za dużo i wzrostem są za mali" książka Nowaczyńskiego podbija serca. Tylko dla kobiet poświęcił także Kochanowski swą „Sobótkę" (Chrzanowski. Literatura Polski niepodległej), ale miłość zdobył utwór ten i u mężczyzn!

Jan Bielatowicz.

Kraków.

Z KUJAWSKIEGO ZAGONU

Mimo dość dużej liczebności, jaką stanowią akademickie koła regjonalne na Uniwersytecie Poznańskim, których podstawową ideą jest najbardziej realne kultywowanie miłości i zainteresowania do macierzystego regjonu — nie można jednak narazie powiedzieć, aby zaznaczył się w tym kierunku silniejszy ruch wraz z ujawnieniem szeregu talentów i rzetelnych pracowników!

Dotychczas bowiem popularny ruch regjonalny stale jeszcze reprezentują na naszym terenie uniwersyteckim nieliczne tylko jednostki, które zato wysoko podniosły sztandar tego ze wszechmiar godnego uwagi kierunku kulturalnego.



Stanisław Waszak

Do nich należy w pierwszym rzędzie kol. mgr. Stanisław Waszak, parokrotny prezes Zrzeszenia Akademickich Kół Regjonalnych oraz Akad. Koła Kujawian. Nie od dziś go znamy, jako niestrudzonego popularyzatora regjonalistyki na terenie Wielkopolski, a na Kujawach w szczególności.

Jakkolwiek byśmy pojmowali i nazywali tę dziedzinę bardzo pożytecznej pracy (bo nie wszystkim podoba się słowo: „regjonalizm"!), pozostanie niezaprzeczalnym faktem sam twórczy dorobek kulturalny, który w tym wypadku jest najistotniejszy i najbardziej godny uwagi, jeżeli się przytem zważy, że istotnie mamy tutaj do odrobienia cały szereg kulturalnych zaniedbań, w czem dawno wyprzedził nas — jak zwykle — zachód.

Sądząc po dotychczasowej działalności kol. Stanisława Waszaka, stwierdzić należy, że obok zainteresowań naukowych, obrał on sobie drugi, niemniej wdzięczny dział pracy t. j. ujawnianie w szeregu prac walorów kulturalnych Ziemi Kujawskiej, tej sławnej ziemi, która wydała Jana Kasprowicza i Stanisława Przybyszewskiego.

Ponieważ ostatnim jego dziełem, natury przedewszystkiem społeczno-kulturalnej, jest przygotowanie do druku i wydanie zbiorku poezyj ludowego poety Kujaw, kowala-samouka, Franciszka Becińskiego (o czem w swoim czasie zamieścił już wzmiankę „Głos Regjonalny") — zwróciłem się z tej okazji do autora „Wielkiego Pieśniarza z nad Gopła" i „Przewodnika po Inowrocławiu i Kujawach" z całym szeregiem pytań, uzyskując na nie pożądane odpowiedzi.

PIERWSZE PYTANIE DOTYCZYŁO REGJONALIZMU WOGÓLE, A WIELKOPOLSKIEGO W SZCZEGÓLNOŚCI, CO MÓJ ROZMÓWCA POTRAKTOWAŁ NASTĘPUJĄCĄ ODPOWIEDZIĄ:

— „Trudno, proszę kolegi, sprecyzować w kilku zdaniach przygodnej rozmowy to, co jest narazie przedmiotem ożywionej dyskusji, co dopiero rodzi się w naszych oczach. Bo proces społeczno-kulturalny, jaki zwykliśmy nazywać regjonalizmem, nie prędko zapewne przebierze skończone i określone formy.

Narazie zatem żyjemy rozpędem jego młodości, a może nawet jeszcze ledwie dzieciństwa. Boć nie wszystko, co się pod pokrywką regjonalizmu zaczyna iniciować zasługuje na uznanie. Jedno natomiast warte silnego podkreślenia, to głównie to, że regjonalizm w zakresie nauki, sztuk pięknych i literatury zdolen jest porywać i wzruszać sobą. Zdolen jest zadziwiać bogactwem i różnorodnością swej treści. Jest to zaś najlepsza gwarancja jego powodzenia i popularności. Nie myślę tutaj podawać koledze tego, co gdzie zrobiono, bo to są rzeczy naogół znane, zwłaszcza napewno już będą te rzeczy znane tym wszystkim, którzy te luźne uwagi będą czytać.

Oczywiście, że racjonalizm nie jest monopolem żadnej dzielnicy polskiej, lecz rozprzestrzenił się na całym terenie Polski, zyskując conajwyżej różny stopień nasilenia w różnych stronach. Wzorem dla wszystkich może być bezwątpienia ruch regjonalny na Śląsku, który tam rozwinął się najlepiej i najokazalej. Naturalnie zależy to znowu prawie tylko od kilkunastu jednostek dobrej woli, które, rozmiłowawszy się w tej pracy bez reszty, prowadzą ją bez wytchnienia od szeregu lat.

Wielkopolska w tym ruchu nie kroczy coprawda na szarym końcu, ale też i nie na czele. Może dzieje się to dlatego, że wielokopolanie, jak to niejednokrotnie nieuprzedzeni podkreślali, robią każdą rzecz powolniej, ale zato gruntowniej i solidarniej. Zresztą te wszystkie napaści i oklepane powiedzonka, któreśmy nieraz mieli przyjemność słyszeć o kulturze Wielkopolski, powtarzają obecnie wyłącznie tylko półinteligenci oraz niedowarzone głowy. Można więc spokojnie już na to wzruszać ramionami.

Szczególnie dobrze się stało, że p. Szypерski ze Środy wydał swoją cenną pracę pod tytułem „Geografja talentów wielkopolskich", kładąc temsamem kres wszelkim tego rodzaju nierozsądnym uwagom. Rzecz ta jednak o tyle ma znaczenie, że regjonalizm wielkopolski właśnie najsilniej nastawił się w kierunku odpierania i wykazywania bezpodstawności wszystkich tych ataków. Jak „Zarzewie" na Śląsku, tak w Wielkopolsce na czele regjonalizmu pragną kroczyć „Wici wielkopolskie", wychodzące we Wrześni i redagowane przez utalentowanego poetę i malarza Marjana Turwida z Bydgoszczy. Nie można jednak obecnie powiedzieć, aby były tem czem być powinny, by dostatecznie i godnie pod każdym względem reprezentować kulturę Wielkopolski w nowej szacie. Za mało jeszcze skupiają pracowników. W dalszym więc ciągu musi się odbywać werbunek na współpracowników znanych już talentów oraz poszukiwanie i wyciąganie z ukrycia nowych, nie mówiąc o zjednywaniu tych działaczy, którzy oddawna prowadzą odpowiedzialną pracę w tym kierunku na własną rękę. To też w tej chwili ruch regjonalny na terenie Wielkopolski ujawnia się w kilku obok siebie istniejących czasopismach oraz różnych nieskoordynowanych wydawnictwach.

Wydaje mi się, że byłoby rzeczą niezmiernie pożyteczną opracowanie i wydanie praktycznego „Vademecum regjonalisty wielkopolskiego". Nie każdy bowiem ma czas i możność dostatecznego zapoznania się z szeregiem choćby tylko podstawowych zagadnień, pojęć i wiadomości. Wskutek tego nierzadko grzeszy się nadmiernym dyletantyzmem, a nawet — co gorzej — ignorancją podstawowych wiadomości w działach, objętych regjonalistyką.

— „A JAK PRZEDSTAWIA SIĘ SPRAWA REGJONALISTYKI NA KUJAWACH?"

— „Kujawy, stanowiące w dawnej Polsce samodzielną dzielnicę, podzielone zostały — jak wiadomo — między dwa zabory: pruski i rosyjski. Miało to oczywiście niesłychanie doniosłe znaczenie dla ukształtowania się w inny sposób warunków kulturalno-społecznych w części Kujaw włocławskich, oraz w części Kujaw inowrocławskich. Toteż dziś, po odzyskaniu niepodległości, sprawa nawiązania przynajmniej kulturalnego kontaktu oraz wyrównania i zatarcia różnic dzielnicowych między obu częściami Kujaw, nabrała szczególnego znaczenia. Kwestji tej poświęciłem obszerny artykuł, drukowany w miejscowym „Dzienniku Kujawskim" pod wyraźnym nagłówkiem „Czy ziemia kujawska stale jeszcze rozdzielona kordonem". Wspomniany „Dziennik Kujawski", jakkolwiek jest pismem politycznem, bardzo wiele jednak uwagi i miejsca poświęca aktualnym zagadnieniom kulturalnym, silnie zwłaszcza uwypuklając zagadnienia regjonalne. Temu celowi służy przedewszystkiem dodatek tygodniowy „Piast".

Jeżeli chodzi o realny dorobek w tej dziedzinie, to pierwszeństwo przyznać trzeba Kujawom wschodnim, gdzie ruch regjonalny wydał już piękne owoce w postaci muzeum kujawskiego, czasopisma „Włocławek i okolica", różnych wartościowych publikacyj, wystawy regjonalnej w Ciechocinku oraz ostatnio zainicjowaniem muzeum Noakowskiego w Nieszawie. Inowrocław natomiast poszczycić się może zaledwie pomnikiem Kasprowicza, przewodnikami oraz dobremi chęciami przy organizowaniu własnego muzeum, co jednak idzie bardzo powoluteńku. Zresztą „regjonalizm kujawski, jego zadania i potrzeby" mam zamiar omówić możliwie obszernie i wyczerpująco w osobnej broszurze, nad czem właśnie obecnie pracuję.

— „CZY MOŻNA WIEDZIEĆ, JAKIE PRACE Z TEJ DZIEDZINY KOLEGA JUŻ OPUBLIKOWAŁ?"

— „Bardzo proszę! Będąc redaktorem „Dziennika Kujawskiego" przez blisko trzy lata, drukowałem w nim przeważnie przyczynki do historji i kultury kujawskiej. A więc „Mennica kruszwicka i monety biskupów kujawskich" — „Zwyczaje wigilijne i wielkanocne" — „O nazwie i herbie m. Kruszwicy" — Feljetony gwarowe — „Czy dzieli nas kordon" — „O Kasprowiczu" — „O Becińskim" i inne. Pozatem z okazji odsłonięcia pomnika Kasprowicza przygotowałem specjalny numer, poświęcony jego życiu i dziełu. Jeszcze bogatszy numer opracowałem w r. 1931 z okazji 600-lecia bitwy pod Płowcami oraz z okazji odsłonięcia pomnika na grobie Przybyszewskiego w Górze.

W osobnych książkach wyszły:

1. „Harcerstwo na Kujawach." Księga pamiątkowa na 15-lecie inowrocławskiego harcerstwa. Z pomiędzy różnych w niej artykułów podkreślić mi tutaj wypadnie pracę „O Kujawach, Kruszwicy i Inowrocławiu" oraz utwór nowelistyczny „Gdy słońce wschodzi".

2. „Wielki Pieśniarz z nad Gopła". Popularna to monografja o Janie Kasprowiczu, złożona z trzech części: a) Życie i działalność Jana Kasprowicza, b) Kujawy w twórczości Jana Kasprowicza, c) St. Przybyszewski o Kasprowiczu. Liczne dodatnie wzmianki w prasie o tej pracy pozwoliły mi upewnić się w przekonaniu, iż uderzyłem w tym dziełku we właściwą nutę, podając czytelnikowi niezbędne wiadomości o Kasprowiczu w formie jak najbardziej łatwo strawnej, zachęcając przy każdej sposobności do gruntownego poznania przepięknej twórczości Wielkiego Pieśniarza z nad Gopła.

3. „Przewodnik po Inowrocławiu i Kujawach Zachodnich". Dziełko to nosi charakter praktycznego informatora przedewszystkiem o Inowrocławiu, Kruszwicy, Strzelnie i Pakości wraz z okolicą, choć w ujęciu materjału przypomina monografję. Przewodnikiem tym wyrównałem poważną lukę w regjonalistyce kujawskiej, co niejednokrotnie dawało się dotkliwie we znaki.

4. „Poezje Becińskiego". Sądzę, że to dziełko kolega omówi w osobnej recenzji. Niezależnie od tego ostatnio opracowałem do „Bibljoteki Szkoły Powszechnej" nową broszurkę o Janie Kasprowiczu, która jest w druku oraz mam na warsztacie Księgę pamiątkową z uroczystości Kasprowiczowskich, monografję o Kruszwicy i Gople, wreszcie wspomnianą już pracę „Regjonalizm kujawski, jego zadania i potrzeby".

— „JAKIEMI INTENCJAMI KIEROWAŁ SIĘ KOLEGA PRZY OPRACOWANIU I WYDANIU POEZYJ BECIŃSKIEGO?"

— „Przypuszczam, że są one dość jasne, proste i widoczne. Przedewszystkiem chciałem być konsekwentny w stosunku do tego, co głoszę na temat regjonalizmu i popierania talentów rodzimych. Chciałem zarazem dać przykład, że przy dobrej woli można dużo rzeczy zrobić. A przyznać muszę, iż zrealizowanie całego tego przedsięwzięcia długo napotykało na nieprzezwyciężone zdawało się trudności, głównie materajalnej natury.

Szczęśliwe atoli pokonanie wszelkich nastręczających się w takich wypadkach przeszkód — że użyję słów mego wstępu do owego zbiorku — pozwala mi jednocześnie żywić głęboką i niezachwianą nadzieję, iż skromny ten tomik zwróci z pewnością baczniejszą uwagę na działalność pisarską wiejskiego kowala-samouka i poety; zainteresuje swą zawartością szersze grono szlachetnych entuzjastów każdego rzetelnego wysiłku kulturalnego, — co pozwoli w niedługim może czasie ogłosić w osobnych zbiorach dalsze rzeczy Fr. Becińskiego, a które właśnie są i będą takiego rzetelnego wysiłku kulturalnego przepięknym wyrazem.

Możnaby zwłaszcza ładny ułożyć zbiorek nowel i opowiadań, nie mówiąc już o prawie gotowych do druku powieściach. Wspaniały to teren popisu dla tak bardzo modnego dziś regjonalizmu: nietylko odszukiwać i podziwiać podobne talenty, ale przedewszystkiem popierać je pozytywnie i realnie, zarówno w tej jak niemniej i w każdej innej dziedzinie naszej kultury, kultury pojętej w jak najszerszym tego słowa znaczeniu.

Zbiorek ten będzie zapewne skuteczną podnietą dla Becińskiego do dalszej twórczości. Nic bowiem bardziej nie hamuje w działaniu jak świadomość i podejrzenia, że się jest zapomniany, niedoceniony, nieuznany. A w takich nastrojach często spotykałem Becińskiego.

—

Modraki i maki z kujawskich równin.

Pod powyższym tytułem ukazał się starannie przygotowany przez p. Jana Kuglina pod względem typograficznym tomik poezyj Franciszka Becińskiego, wiejskiego kowala - samouka z Kujaw. Przygotowaniem do druku tego zbiorku zajął się właśnie kol. mgr. Stanisław Waszak, zaopatrując go jednocześnie w piękny wstęp, który podkreśla charakter twórczości ludowego pieśniarza, jego walory poetyckie oraz podaje szczegółowy życiorys.

Treść poetycka miłego tego dziełka rozbita została na kilka części. Każda z tych części grupuje wiersze według pewnego wewnętrznego ich sensu. Mamy więc tam: 1) Polne kwiaty, 2) Jesienią, 3) Wieś kujawska w sonetach, 4) Do Niej, 5) Zadumy i smętki, 6) Motywy ludowe.

Ze względu na osobę poety, jego pozycję społeczną oraz środowisko, w jakiem wypadło mu żyć i wychować się — wiersze te należy oceniać na podstawie innej miary oraz inne do nich stosować wymagania. Są to niewątpliwie utwory, które świadczą bez zastrzeżeń o ich autorze, że jest poetą prawdziwie z Bożej łaski. Jednak forma nie zawsze pozostaje bez zarzutu. Tak samo uderza ogromna zwartość tematów, pozostawiająca nawet wrażenie pewnej jednostajności i powtarzania się motywów.

W każdym razie Beciński pisze naprawdę „pieśni rzewne i tęskne, proste i szczere i takie przytem dziwnie porywające za serce swym smutkiem nieukojonym i melancholją bezbrzeżną", co tłumaczy się tem, iż

„Beciński, to przedewszystkiem wzruszający śpiewak nieutulonych tęsknic i smętków równinnych pól kujawskich, których to przedziwnych smętków i zadumań tyle również u Jana Kasprowicza i Stanisława Przybyszewskiego, dwóch wielkich synów tej ziemi."

Toteż słusznie kol. mgr. St. Waszak we wstępie zaznacza,

„iż poezje Fr. Becińskiego — bez względu na rodzaj form literackich, w jakich się wypowiada — stanowią bezsprzecznie na tle całej polskiej twórczości ludowej nowe doniosłe i ciekawe zjawisko samorodnej emanacji duchowej naszej wsi. Tak zaś żywiołowo ujawnić może swe wartości duchowe tylko szczep etnicznie



Franciszek Beciński

czysty, jak najbardziej autochtoniczny, o prastarej kulturze „słowiańsko-polańskiej."

Sonety regjonalne Becińskiego o wsi kujawskiej stanowczo przewyższają pod względem walorów poetyckich podobne sonety regjonalne Dr. St. Helsztyńskiego.

Istotnie o poezji Becińskiego można powiedzieć za Waszakiem, że na zagonie kujawskim zakwitły swojskie, takie nasze kochane, takie naprawdę śliczne maki i modraki.

Kol. St. Waszakowi należą się za trud i mozolne starania około wydania tych wierszy szczere słowa uznania, które tem będą realniejsze i powszechniejsze, im szybciej wydawnictwo wspomniane zostanie rozsprzedane.

B. Merlo.

Wystawa „Tworu“

Przed paru laty urządzono w Zachęcie warszawskiej wystawę prac dyletantów. I miała ona wielkie powodzenie, każdy szedł na nią z ciekawości. Dlaczego nie postąpiono tak w Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych miast ogłaszać wystawę „Tworu", a więc twórców, artystów, i wprowadzać w błąd i mamić łatwowierną publikę.

Aby być artystą nie wystarczy wystawić parę prac w salonie. Trzeba mieć wrodzony temperament malarski, talent, zrozumienie zagadnień artystycznych, no i rzetelną szkołę. Brak właśnie tej szkoły, która może i była i właśnie to jej wina, że nie umiała nauczyć myśleć i patrzeć po malarsku, odczuwa się od pierwszego spojrzenia. Tak samo winą szkoły jest ciągłe borykanie się i przewracanie przez trudności nieopanowania techniki. To samo jest u malarzy i u rzeźbiarzy: malarze nie rozumieją walorów farby i formy, nie umieją ich wyzyskać, rzeźbiarze nie umieją poradzić sobie z wielkiemi płaszczyznami rzeźby, nie umieją ich ożywić. A przy tem wszystkiem, rzecz jasna u słabych, młodych talentów, widać wzorowanie się na obcych silniejszych indywidualnościach np. na Pautschu (u Powalisza), Ign. Witkiewiczu (u Zawielaka), a w rzeźbie na Dunikowskim (u Jakóba).

Przejdźmy teraz do przeglądu bardziej szczegółowego. Powalisz jest jednym z niewielu — malarzem, czuje po malarsku, ma zacięcie, zna umiejętność opewania barwą i kompozycją. Idzie jednak fałszywą drogą jakiegoś modernizmu i spaczonej formy, czego dowodem „Szał" i „Wieczerza". Jest zato urodzonym witrażystą, zna się na wartości dekoracyjnej czystego koloru niekrępowanego formą i przesądami.

Również malarzem czującym i rozumiejącym zagadnienia malarskie jest Lisiecki. Zdradza on nawet smak i kulturę dobrego obrazu. Obrazy Zawielaka malowane są w pewnym określonym stylu, o przytłumionych barwach i konturze, który maskuje słabość rysunku. Kościańskiego portrety fatalnie malowane, przedewszystkiem w barwie, technika pastelowa okropna. Jedynie portret „Kapitana" opracowany rzetelniej zdradza niejaki talent. Dekoracje teatralne Worsztynowicza działają tylko na scenie w teatrze i to przy dobrej, także tylko, sztuce. Świerczyński ma wcale niezły talent rysunkowy, ale właśnie w nim objawia się jego dyletantyzm. W „Martwych naturach" zato więcej malarskości. Pejzaże Petryckiego suche, nudne, oleodrukowe w efekcie, banalne, wskazują jak się ich malować nie powinno. Drzeworyty Stikarowskiego przeciętne, niczem się specjalnie nie wybijają. Pejzaże Eisa poniżej recenzji.

Z rzeźby Jana Żoka „Małpa", znakomicie skomponowana w bryle, jest najlepszym bodaj objektem wystawy. „Madonna" Kuczmy, „Portret żony" Jakóba, zdradzają brak opanowania techniki i nieumiejętność radzenia sobie z materjałem.

p. m.

Po karnawale

Karnawał tegoroczny był intensywny w swym przebiegu. Bawiono się zapamiętale. Naogół wszystkie większe bale udały się — przynajmniej pod względem finansowym. Do największych imprez karnawałowych zakwilifikowały się w tym roku m. in. bale — medyków, bal młodych prawników, Bratniej Pomocy U. P., Bratniej Pomocy W. S. H., bal prasy...

Nie sposób również nie wspomnieć o przyjęciu, zamykającym karnawał, w salonach pani prezydentowej Zofji Żychlińskiej. Był to bezsprzecznie jeden z najmilszych, a zarazem najwspanialszych wieczorów minionego karnawału. Zgromadził on elitę Poznania.

Doskonale wywiązała się ze swego zadania orkiestra 15 pułku ułanów pod niezrównanem kierownictwem p. por. Dzidka. Tańce prowadził bez zarzutu p. hr. Mycielski.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 40. Konto P. K. O. 201410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 40.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką) rocznie 6 zł, półrocznie 3 zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, 1/2 strony — 130 zł, 1/3 strony — 90 zł, 1/4 strony — 70 zł, 1/8 strony — 40 zł, 1/10 strony — 30 zł.
Rękopisy nieczytelne, bez podpisu i adresu autora nie będą uwzględniane. Przedstawiciel Redakcji w Warszawie: Jan Bajkowski. Rękopisów się nie zwraca.
Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski, Poznań. Kierownik adm. i redaktor odpow.: Stanisław Sieciechowicz, Poznań.
Czcionkami Drukarni Katolickiej Sp. Akc. w Poznaniu, Raczyńskich 13/14.